CENA 2 ZŁ

BIAŁYSTOK KIELCE LUBLIN RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 31.III.1966 Nr 6 (339) R. XXXIII DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Lublin – LSM Fot. A. Polskowski

CZAROWNICE

JAN KOŁKOWICZ

ROZBABRANA śniegiem i błotem droga prowadzi przez wieś. Nad okazałymi domami o stylowych gankach i eternitowych dachach dominuje kopuła pocerkiewnego kościoła. Przy końcu wsi budynek gromadzkiej rady narodowej z odrapanym szyldem. Wewnątrz zwichrowane stoły, sterty papierów, maszyna do pisania, panienki ze znudzonymi minami... Siedzę na krześle i czekam cierpliwie na sekretarza. Panienki nudzą się śmiertelnie, więc zabawiamy się rozmową.

— Czy są we wsi „babki" — pytam.

— Ile pan chce. Do wyboru do koloru. A my to co? Szczaw?

— Nie, oczywiście, ale mnie interesują „babki" stare. Takie, co to leczą. Co asystują przy porodach. Przerywają ciążę.

— Aaa...

— No właśnie!

Temat jest trochę żenujący, więc panienki lekko się rumienią. Zresztą nie tylko dlatego. Obawiają się chyba jakiegoś podstępu i odcinają się od dalszej dyskusji. Odpowiadają niemal chórem:

— My nic nie wiemy! Może ktoś we wsi... Ale my po wsi nie chodzimy, w plotki się nie bawimy. W dzień pracujemy, po pracy siedzimy w domu. Pod piecem.

— No, a w niedzielę?

— W niedzielę? W kościele się człowiek modli...

— Cały dzień?

— No nie. Czasem idziemy na telewizję do szkoły. Ale przeważnie to się pod piecem siedzi. Nawet w niedzielę. A „babki"? Tu nikt nic o tym nie mówi. A zresztą...

— Co zresztą?

— Kto by się w to bawił dzisiaj? Teraz jest ośrodek zdrowia.

— Gdzie?

— Dwa kilometry stąd. Pomiędzy Szóstką a Worsami.

Jest już sekretarz i panienki oddychają z ulgą. Przechodzimy do jego pokoju. Tutaj rozmowa jest bardziej konkretna.

— „Babki"? — marszczy czoło.

— Podobno właśnie w Szóstce jest ich bardzo dużo...

— Prawda! Namnożyło się tych czarownic tutaj, że nie daj Boże. Co druga, trzecia kobieta w starszym wieku zajmuje się tym znachorstwem.

— I są klientki?

— Jeszcze ile! Tylko, że robią to potajemnie. A coś powiedzieć?! Oczy by człowiekowi wydrapały za prawdę! Czas chyba skończyć z tym kołtuństwem, zanim do grobu kogoś wepchną. Toż to dwudziesty wiek! Kiedyż wreszcie wezmą się za to władze śledcze, prokuratura?...

* * *

Wiara w moc czarownic jest tu głęboko zakorzeniona. Niełatwo też wcisnąć się do ich świata. „To element zabobonny. Nie wyciśnie pan nic. Chyba, że zdobędzie się ich zaufanie!" — powiedziano mi w miejscowej szkole. Pomimo tych pouczeń idę do pierwszej z brzegu wsi.

Chałupa jest niska. Można głową sięgnąć do sufitu. Przede mną na koślawym stołku siedzi stara kobieta. Jest niechlujnie ubrana, poszarpane łachmany wiszą na niej jak na kołku, ręce ma niedomyte.

— Kiedyś leczyła tutaj babka Paprotowa — chrypi starucha. — Znała się na swoim fachu, oj znała. Przyjeżdżali do niej nawet ludzie z miasta. Ale dzisiaj już dziewiąty krzyżyk jej na karku, panie! Niedołężne to i ślepe. Nie w głowie jej to wszystko. A robota niełatwa, panie! Porody, przerywanie ciąży...

— To pewnie niebezpieczne?

— Zależy. Do przerywania ciąży bierze się najczęściej szałwię. Ale to mało skuteczne. Przeważnie ugniata się brzuch. Może być gorąca kąpiel. Albo daje się gorącego chleba. A gdy to nie pomaga — to drutem, panie! A chto u pana chory?

— Babcia też leczy?

— Nie! — żachnęła się stara. — Znam się trochę. Ale mnie daleko do babki Paprotowej.

Starucha traci chęć do rozmowy. Tabu zawodowe? To przecież w jej chałupie dostała krwotoku młoda kobieta.

— Krwotok? Co pan wymyśla? Ja nic z tym nie miałam. A chto pan jest? Chto pana tu przysłał?

— Mowa przechodzi w jakieś osobliwe pianie. Starucha podnosi się nerwowo ze stołka, kreśli rękami jakieś zygzaki w powietrzu. Zdaje się, że przesoliłem. Rozmowa wygląda na skończoną. Wychodzę.

Przed odwiedzeniem babki Paprotowej poszedłem do lecznicy weterynaryjnej, gdzie spotkałem chłopa o podobnym nazwisku. Lekarz wypisywał mu rachunek za swoje usługi.

— Syn babki Paprotowej? — spytałem.

— Nie, wnuk. Ale babka teraz nie leczy.

Kiedy chłop wyszedł, lekarz mówi:

— To macher. Wykastrował sam prosięta i poczęły mu zdychać. Ostatnie dwa ledwie dowiózł do lecznicy. Z trudem udało mi się je odratować.

— Wnuk znachorki — mówię.

— Wiadomo. Niedaleko pada jabłko od jabłoni...

Babkę Paprotową znalazłem w jej własnej chałupie. Niska, grubawa. Dziewięćdziesiąt jesieni na karku, ale jeszcze dość żwawa.

— Dziś to już nie dla mnie — mówi — zajmować się medycyną. Dawniej to się miało po pięć łóżek w domu. Leżeli chore kobiety u mnie całymi tygodniami. Dziś nie dam rady. Są młodsze. Niech one leczą.

* * *

Ziemia w Szóstce rodzi dobrze. Wieś jest duża, zasobna, słynie z uprawy rzepaku. Przoduje pod tym względem w województwie. Ludność buduje murowane domy we wsi, a nawet w mieście.

W takiej sytuacji walczy się o zachowanie całej ziemi dla jedynaka lub jedynaczki. „Zdechnę, a

(Dokończenie na str. 5)

Wesołych Świąt życzy „Kamena"

ROMUALD KARAŚ

CISZA PRZED BURZĄ

Romuald Karaś, od momentu powołania Zakładów Azotowych „Puławy", śledzi wydarzenia i procesy społeczne towarzyszące powstawaniu kombinatu. Gwałtowne uprzemysławianie rolniczego regionu nie dokonuje się bez konfliktów, dramatycznych spięć, a niekiedy groteskowych sytuacji. Reporter stara się oddać klimat wydarzeń, wobec których nie zajmuje postawy biernego świadka. Puławom i okolicom wciągniętym w wir przemian poświęcił Karaś tom reportaży, który ukaże się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego. Z przygotowywanej książki drukujemy reportaż „Cisza przed burzą", poświęcony sytuacji Puław, gdy uchwałą Rady Ministrów powołano 19 grudnia 1960 roku Zakłady Azotowe. Ukazane wypadki należą już do historii, stąd nie można nadawać im aktualnego znaczenia.

MIASTO jest pozornie takie samo, jak dawniej. Strojne bujną zielenią parku, dumne z zabytków, ciche, spokojne. Chociaż w referatach i w wywiadach prasowych powtarza się coraz częściej słowo Azoty, kombinat wciąż jeszcze oznacza tylko nazwę. Kryją się wprawdzie za nią dziesiątki cyfr i wskaźników produkcyjnych, ale dla przeciętnego mieszkańca niewiele one znaczą.

Żywsze poruszenie opinii publicznej przyniosła wiadomość o mianowaniu naczelnego dyrektora Zakładów Azotowych Puławy. Pantoflową pocztą rozniosło się, że był on prezesem klubu sportowego Ruch Chorzów. Kibice wiążą nadzieje, iż dyrektor wywinduje puławską Wisłę z dolnych rejonów III ligi do ekstraklasy, że sypnie pieniędzmi na „kaperowanie" zawodników ze Śląska.

Srogi zawód: dyrektor solidaryzuje się z akcją „Polityki": „Polska gola!" Z pierwszych jego kroków wynika, że nie na sport wyczynowy, lecz na socjologię, psychologię, sztukę (sam jest zresztą wybitnym fotografikiem) będzie stawiał. Te dziedziny wiedzy i kultury chce przybliżyć do Puław. Ośrodek Badania Opinii Publicznej, Zakład Socjologii Miasta PAN, Komitet Rejonów Uprzemysławianych wyczuwają życzliwy klimat współpracy. Niebawem otrzymujemy pierwszy zwiad z życia miasta w kontekście powstającego kombinatu. Wyniki badań ankietowych wykazały, iż 93 proc. ludności wyraża zadowolenie z zamieszkiwania w Puławach, a niewiele mniej pragnie z nimi związać przyszłe życie swoich dzieci. Świadczy to niewątpliwie o przywiązaniu do miasta. Wskaźniki dobrego samopoczucia mieszkańców Puław są znacznie wyższe niż w innych miastach. Najczęstsze powody zadowolenia to piękno miasta i okolic, zdrowotność klimatu oraz przyzwyczajenie. Tylko nieliczna grupka osób wyraża niechęć do zamieszkiwania w Puławach. Największy odsetek narzeka na złe warunki mieszkaniowe, brak rozrywek i perspektyw rozwojowych. Charakterystyczne, że im wyższe jest wykształcenie mieszkańców, tym mniej spośród nich bywa zadowolonych z życia w Puławach.

Z badań wynika, iż olbrzymia większość mieszkańców żywo interesuje się projektami zabudowy Puław w związku z Azotami, a tylko 4,5 procenta wykazuje całkowity brak zainteresowania tymi sprawami. Prawie 64 procent mieszkańców widzi korzyści, jakie przyniesie miastu i im samym budowa Zakładów Azotowych, a 24 procent podzielając tę opinię dostrzega i złe strony inwestycji, natomiast 2 procent obawia się szkód.

Najbardziej boją się puławiacy zanieczyszczenia przez Zakłady Azotowe powietrza i wody w Wiśle, dalej — utraty przez miasto tradycyjnego charakteru oraz wywłaszczenia domów i terenów prywatnych. Zdaniem niektórych mieszkańców napływ zamiejscowej ludności spowoduje w Puławach wzrost przestępczości i chuligaństwa.

W gazetach lubelskich, a także warszawskich, pojawiają się coraz częściej ogłoszenia: „Sprzedam działkę budowlaną w Puławach", „Ogródek z domkiem jednorodzinnym sprzedam w Puławach", „2 hektary ziemi do nabycia w Puławach". Wśród właścicieli placów i pól powtarzane są rady, że warto zakładać plantacje truskawek i sady, gdyż przy ewentualnych wywłaszczeniach jedynie na tym można zarobić.

Pracownicy inwestora zamawiają urządzenia zakontraktowane we Włoszech, Czechosłowacji, Anglii, Związku Radzieckim, pertraktują z przedsiębiorstwami krajowymi. Trwają rozmowy z Hartwigiem w sprawie dostaw na plac budowy olbrzymich agregatów i aparatury. Dziesiątki osób są stale w delegacjach.

Dyrektor Zakładów Azotowych jest zafascynowany pięknem Puław. Uważa, że miasto zyskało wspaniałą szansę rozwoju, że dojdzie do zbratania nauki z techniką, że kombinat dźwignie gospodarczo cały region. Występując na licznych

(Dokończenie na str. 6)

Jolanta Bohdal, aktorka Teatru im. J. Osterwy, w filmie „Zawsze w niedzielę"

TRZY miesiące przed odzyskaniem władzy, w lutym 1958 r. prezydent de Gaulle wyznał prywatnie (cytuję wg „The New York Times'a"): *„Gdybym kierował Francją, opuściłbym NATO. NATO jest sprzeczne z naszą niepodległością i z naszymi interesami... NATO nie jest już sojuszem. Jest to podporządkowanie... Gdy Francja odzyska niezawisłość, zapewne utrzyma więź z krajami zachodnimi w formalnym sojuszu... Jednakże nie możemy się zgodzić, aby stał nad nami jakiś przełożony w rodzaju USA i był za nas odpowiedzialny".*

Po ośmiu latach, w lutym 1966 r., prezydent de Gaulle powiedział już zupełnie oficjalnie: *„Francja pragnie sama dysponować swoim losem, co jest nieodzowne, aby uwierzyła we własną rolę i aby mogła być użyteczna dla innych. Ta wola Francji jest nie do pogodzenia z istnieniem organizacji obrony, w której jest ona komuś podporządkowana... Chodzi więc o przywrócenie normalnej sytuacji suwerenności, w której to, co jest faktycznie francuskie — terytorium, niebo, morze i siły zbrojne oraz wszystkie obce elementy, które znajdowały się we Francji, podlegać będą wyłącznie władzom francuskim".*

Ta wypowiedź francuskiego przywódcy wywołała wielkie wrażenie w świecie zachodnim. Nikt chyba jednak nie przypuszczał, że w ślad za tym oświadczeniem tak szybko rozwiną się dalsze wypadki.

Nastąpiła wymiana listów między prezydentem de Gaulle'em a prezydentem Johnsonem oraz innymi szefami rządów państw atlantyckich. Johnson nie pozostawił prezydentowi de Gaulle'owi żadnych wątpliwości co do tego, że USA zamierzają i w przyszłości popierać NATO. Dziennik francuski „Combat" pisał, że *„reakcja Waszyngtonu była gwałtowna. W najbliższych miesiącach Stany Zjednoczone będą prowadzić akcję dyplomatyczną zmierzającą do zahamowania pretensji francuskich. Może ona mieć jednak tylko skutek połowiczny. Prezydent Johnson wie o tym. Zdaje sobie sprawę ze stanowczości generała de Gaulle'a i wie, że w końcu będzie musiał wycofać z terytorium francuskiego stacjonujące tam wojska. Taka sytuacja wstrząsa nie tylko systemem obrony atlantyckiej, lecz także podstawami, na których opiera się dyplomacja zachodnia".*

Równie gwałtownie zareagował kanclerz NRF, Erhard. W chwili, gdy piszę te słowa, nie znam jeszcze listu Erharda, niemniej dzienniki zachodnioniemieckie rzucają znamienne światło na stanowisko przywódcy NRF. Oto chociażby tytuły niektórych publikacji:

„KOELNISCHE RUNDSCHAU": „Odmowa Erharda dla planów Francji dotyczących NATO".

„FRANKFURTER RUNDSCHAU": „Erhard: Żadnej rezygnacji z NATO".

„GENERAL ANZEIGER": „Bonn — integracja NATO musi być utrzymana. Chłodne „nie" dla propozycji francuskich".

Biuletyn socjaldemokratyczny *„SPD — PRESSE-DIENST"* pisał bez ogródek:

„Prezydent Francji de Gaulle troszczy się o to, aby utrzymać opinię człowieka zdecydowanego i konsekwentnego. Zdąża on do wycofania się z NATO, ponieważ nie posiada ono dla niego żadnej wartości. Wierzy on, że potrafi pozycję Francji lepiej ochronić i wzmocnić poprzez dwustronne układy. Chce on przepędzić USA z Europy i jeśli cel ten udałoby mu się zrealizować w najbliższych latach wywołałoby to ciężkie konsekwencje dla nas, Niemców. Prezydent USA Johnson, i tak znajdujący się pod presją wojny wietnamskiej, odpowiedział bardzo szybko na list de Gaulle'a, odrzucając w imieniu Stanów Zjednoczonych dwustronne rokowania z Francją oraz kierując Francję do właściwego adresata, kompetentnego w tej kwestii, a mianowicie do NATO jako całości. Nie ma sensu spekulować nad tym, jakie motywy skłoniły prezydenta Francji właśnie w obecnym momencie do podjęcia tych sensacyjnych inicjatyw. Jednym z decydujących motywów może tu być jednak zapowiedziana na lipiec wizyta prezydenta de Gaulle'a w Moskwie..."

Po wymianie listów nastąpiła nowa inicjatywa Francji. Paryż skierował oficjalne memorandum do 14 państw — członków paktu atlantyckiego. Memorandum stwierdza, że pakt atlantycki nie odpowiada warunkom istniejącym obecnie na świecie, gdyż są one zasadniczo różne od sytuacji istniejącej w 1949 r. i w latach następnych. Francja oznajmia zatem, że zamierza wycofać się z dwóch sojuszniczych organizacji militarnych NATO, a wobec tego kwatery główne tych organizacji, mające swe siedziby pod Paryżem, muszą być przeniesione z terytorium Francji. Chodzi o SHAPE, czyli główną kwaterę państw sojuszniczych w Europie z siedzibą w Rocquencourt oraz dowództwo Europy środkowej z siedzibą w Fontainebleau.

Jako przyczyny, które skłoniły rząd francuski do wycofania się ze zintegrowanego dowództwa NATO memorandum podaje m. in., że Francja posiada własną broń atomową, a sama natura tej broni wyklucza możliwość integracji; niebezpieczeństwa jakie groziły Zachodowi, zwłaszcza w Europie, nie mają obecnie poprzedniego charakteru bezpośredniego zagrożenia; równowaga istniejąca w dziedzinie nuklearnej między ZSRR a USA zastąpiła amerykański monopol w tej dziedzinie i stąd ogólne warunki obrony Zachodu uległy zmianie; Europa nie jest już dłużej ośrodkiem międzynarodowych kryzysów (ośrodek ten przeniósł się gdzie indziej, zwłaszcza do Azji).

Inaczej mówiąc de Gaulle daje wyraźnie do zrozumienia, że przynależność Francji do NATO na obecnych warunkach może oznaczać zaangażowanie się Paryża w każdą awanturę wojenną, prowokowaną przez USA czy soldateskę zachodnioniemiecką. Nawet — wbrew woli Francji, gdyż pakt atlantycki działa automatycznie.

Trzeba zgodzić się z zachodnioniemieckim „Westfaelische Rundschau: *„Jeśli de Gaulle przeprowadzi swoje plany odsunięcia NATO z taką samą konsekwencją, z jaką obwieścił je obecnie — to fakt ten pociągnie za sobą reperkusje o nie dającym się jeszcze przewidzieć zasięgu".*

ma-jaw

DYSKUSJA O MUZEACH

Urzędnicy czy pracownicy naukowi?

CHYBA dobrze się stało, że „Kamena" zamieściła artykuł Ireneusza J. Kamińskiego pt. „Panopticum czy ośrodek myślenia?", poruszający sprawy muzealnictwa, zwłaszcza na tzw. „prowincji" (?). Ze strony autora jest to gest śmiały, a nawet odważny i w dodatku bardzo potrzebny. Przedmioty — ewentualnie problemy — wycyzelowane nawet do połysku, jeśli leżą dłuższy czas nie używane, pokrywają się patyną, choć nawet nie ulegają niszczącej korozji. Rzeczywiście, rola tak ważnego aspektu kulturalnego, jaką w naszej rzeczywistości odgrywają — a może tylko miały odgrywać? — muzea, od dawna nie była poruszana, dyskutowana, krytykowana. A to jest — moim zdaniem — bardzo potrzebne. Artykuł Kamińskiego uważam za dyskusyjny, mam nadzieję, że redakcja „Kameny" podzieli mój punkt widzenia i również tak go potraktuje.

Kamiński porusza dwie serie zagadnień: lokalną i ogólniejszą oraz stawia problemy. Ze swej strony ustosunkowuję się do tej drugiej serii, a ściśle do niektórych tylko aspektów. Do tych, które można znaleźć nie tylko w Lublinie, nie tylko w „czterech województwach", ale i w innych rejonach kraju. Ramy artykułu publicystycznego i tym razem zmuszają do wyboru najistotniejszych zagadnień.

Wyjdę z kilku założeń. Pierwsze: praca w muzeum to nie posada, nie zatrudnienie dla uzyskania środków utrzymania. To predyspozycja, to pasja mająca fundament w jednym z instynktów, we wrodzonych skłonnościach. Ten instynkt to konieczność badania, dokumentowania wniosków, inaczej — myślenia, jak to skonstruował Kamiński. Jeśli człowiek, nawet po ukończeniu studiów wyższych, nie mający wyżej przedstawionych cech pójdzie do pracy w muzeum, nie będzie nigdy pracownikiem naukowym. I jest wielkim nieporozumieniem nazywanie pracownika muzealnego naukowym jeśli z nauką nie ma nic wspólnego. Może być co najwyżej urzędnikiem muzealnym, nawet bardzo dobrym i wielce wartościowym, ale nie człowiekiem nauki. Dlaczego nauczyciela licealnego po wyższych studiach, który sumiennie realizuje plany nauczania, nie nazywa się pracownikiem naukowym?

FRANCISZEK KOTULA

Kto obserwuje życie i ludzi musi spostrzec, że mnóstwo z nich ma mniejszą lub większą tendencję do „zurzędniczenia się", a mówiąc otwarcie do skostnienia. Czyżby pracownicy muzealni, po studiach, pozbawieni ożywczej pasji, nie podlegali działaniu tego socjologicznie sprawdzalnego procesu? Istnieją muzea, których symbolem powinna być mumia i puszka azotoksu.

Tak jest! Pracownicy muzealni — tzw. naukowi — muszą spełniać wiele bardzo prozaicznych, męczących, nudnych funkcji, jak zresztą wszędzie. Muszą prowadzić inwentarze, katalogi, różnego rodzaju księgi, opracowywać „katalogi" wystaw. A przy tym układać, konserwować, wyrównywać, ochraniać i tak bez końca. Praca bez zewnętrznych efektów, niewdzięczna. I właśnie dlatego pracownik muzealny musi stać się pracownikiem naukowym nawet w małym zakresie, chociażby i dla samoobrony przed zurzędniczeniem.

Czy są okazje, możliwości? Pomijając zbiory i tematy z nimi związane, jako najłatwiejsze rozwiązanie sprawy, chcę wskazać na problemy, które podsuwa samo życie. Właśnie pracownicy muzealni — prawdziwie naukowi — są najbardziej predestynowani do obserwacji życia na bieżąco, naturalnie w określonych aspektach. Oto przykłady:

W wielu ludziach działa zmysł twórczy. W różnych czasach może on się różnie przejawiać. Dziś, mogę to udowodnić na górze przykładów, wielu ludzi na wsi pisze: pamiętniki, gawędy, wiersze, wspomnienia, historie wsi, satyry, pamflety, nawet powieści. Wyjątkowo wybijają się, nie zawsze zresztą najlepsi. A są też fantastycznie zdolni ludzie. Piszą, duszą te swoje utwory, kryją się z nimi... a ileż tego przepada! I tu właśnie naukowy pracownik muzealny powinien stać się łowcą, poszukiwaczem diamentów czy chociażby złota. Przyznam się: na własną rękę i na własny rachunek zebrałem całe archiwum tego typu utworów. Ale jeśli tego czepią się urzędnicze umysły — nie myślę o muzealnych tylko — to potrafią obrzydzić do cna taką „prywatną inicjatywę". (Mogę służyć przykładami).

Kamiński zapowiada, że w którymś tam roku, w jakimś muzeum będzie 36 pracowników z wyższym wykształceniem. A ilu w tym naukowych? I tu sedno sprawy, bo liczą się tylko prawdziwi pracownicy naukowi, chociażby w ciągu roku każdy z nich napisał bodaj arkuszowy artykuł czy rozprawę. I tak byłoby w sumie bardzo dużo. Bo jeśli muzeum nie stanie się placówką naukowo-badawczą, to pozostanie na poziomie urzędu dla spraw kultury.

Od czego zależy, aby w muzeum zapanowała prawdziwie naukowa atmosfera, chociażby „jednoarkuszowa"? Przede wszystkim od kierownictwa instytucji. Trzeba przyjąć: dyrektor czy kierownik może mieć uzdolnienia naukowe, może ich nie mieć. Może natomiast mieć wybitne zdolności organizacyjne, administracyjne. Oby tylko nie miał inklinacji biurokratycznych, bo wtedy muzeum musi stać się grobowcem pełnym wieńców w postaci tomów „akt i dokumentów", którymi kierownik lubi bawić się jak każdy inny urzędnik.

Przyjmijmy dalej: kierownik wprawdzie nie ma zacięcia naukowego, ale jest inteligentny i sprawę rozumie. Wówczas zleca komuś z naukowych pracowników kierowanie sprawami naukowymi. To także dobre rozwiązanie sprawy.

Jeszcze inna ewentualność. Kierownik jest człowiekiem małym, zazdrosnym, zurzędniczałym, skostniałym i wówczas może być bardzo źle. Będzie utrudniał pracę naukową, nie dopuści do wydawnictw. Może powstać sytuacja, że pracownicy piszą, ale nie mogą drukować, bo mały człowiek będzie temu przeszkadzał. Rezultat? Na dziesiątki pracowników po wyższych studiach nie pisze prawie nikt. W obu wypadkach nawet duże muzeum nie może otrzymać „przywilejów ośrodka naukowego".

Pisząc to mam na myśli muzea „prowincjonalne", to jest okręgowe i regionalne. Jedne i drugie często cierpią na brak prawdziwych pracowników naukowych. Przede wszystkim takich, którzy by utrzymywali ciągły kontakt z tzw. „terenem", wsią i miasteczkiem. Nie mogę sobie wyobrazić pracowników naukowych z takiego muzeum, którzy nie czerpią z terenu tematów i materiałów do naukowych opracowań. Muzea muszą być żywymi instytucjami. A zapewniam — na podstawie prawie 40 lat badań terenowych — że w terenie można znaleźć prawdziwe skarby. I co więcej: teren może stać się dla badacza źródłem swoistej mądrości.

Zapraszam w teren i do dyskusji.

LONGIN JAN OKOŃ

Cementownia

Długie
wzniesione w niebo
ręce
chwytają ognistą obręcz słońca
— — parzy
zapala palce
na dłoniach
nad hełmem kredowego wzgórza
zwiesza
strąk puszystego dymu

A niżej
rytmiczny stuk
rytmiczny trzask
rośnie szorstką muzyką
wlewa się gorącym strumieniem
w szeleszczące poszewki
i rzuca pulchne
pękate poduszki
na siwą rzekę transportera
— — to chełmski cement.

Chełm

PIERWSZA połowa dwudziestego wieku wypełniona była w sztuce tęsknotą i dążeniem do absolutnego nowatorstwa, zawartym w programach awangardy. Oznaczało to często zaparcie się przeszłości, jeśli już nie jej burzenie. Dzisiaj poszukiwanie nowości ustąpiło postawie synkretycznej, która chętnie łączy w sobie różne doświadczenia, stąd pojawiło się wiele przewartościowań i odkryć, nie tylko poszczególnych pisarzy, ale całych epok.

Symbolizm i barok — te epoki i nurty poetyckie zaprzątają ostatnio badaczy i krytków szczególnie, a w ślad za tym idą fakty wydawnicze. W **„RUCHU LITERACKIM" M. Podraza - Kwiatkowska** podejmuje jedną z centralnych kwestii — „Zagadnienie polskiego symbolizmu". Pomińmy definicję tego kierunku i analizy — czytelnik może łatwo do nich dotrzeć. Zwróćmy uwagę na te motywy, które o żywotności symbolizmu decydują, a żywotność ta zaświadczona jest dziś takimi przykładami, jak poezja Mieczysława Jastruna i Zbigniewa Bieńkowskiego. Pisze autorka:

„...w kierunku tym istniały pewne bodźce, pewne tendencje (...), których kontynuację stanowią w czasach późniejszych inne, awangardowe poetyki; poetyki zresztą, które w podstawowych założeniach nic już z symbolizmem, zwłaszcza z jego metafizyką, wspólnego nie mają. Należy tu przede wszystkim: koncepcja języka poetyckiego jako przeciwstawienie do innych typów mowy, języka rządzącego się własnymi prawami. Język ów polega między innymi na daleko idącej ekwiwalentyzacji, rozbudowaniu i zautonomizowaniu warstwy znaku, zagęszczeniu metajorycznym, niezwykłości skojarzeń, także — na rozszerzeniu zasięgu oddziaływania ze sfery wizualnej na sferę językowo-intelektualną".

Poezję barokową w najszerszym dotychczas zbiorze ukazała antologia **J. Sokołowskiej i K. Żukowskiej:** „Poeci polskiego baroku" (dwa grube tomy). Wagę niezwykłą tego wydarzenia podkreśla w **„TWÓRCZOŚCI"** J. Maciejewski w artykule „Polscy poeci metafizyczni". Ważne jest to coraz bardziej upowszechniające się stwierdzenie, że barok nie był epoką upadku, nie oznaczał zwyrodnienia poezji. Barok dał po prostu poezję inną. Epoka ta *„wniosła ważne wartości uzupełniające literaturę staropolską. W dużym stopniu dzięki manieryzmowi i barokowi możemy się do niej odwołać jako do żywej tradycji, jako do ważnego elementu budowy nowego modelu kultury".*

Przypomnieniu podlegają dziś nawet poeci, których zwykliśmy uznawać za współczesnych. W **„POEZJI" J. Z. Jakubowski** ogłasza szkic „Przypominam Broniewskiego", w którym pisze m. in.: *„Chcę upomnieć się o obecność Broniewskiego w naszej współczesnej poezji, w dyskusjach na temat dróg jej rozwoju i przyszłości. Chodzi mi o wagę jego twórczego doświadczenia w obecnych niepokojach poetyckich, w poszukiwaniu przez poetów miejsca w życiu narodu".* Autor dochodzi do końcowego wniosku, zbyt zapewne ogólnikowego i oczywistego, że *„przykład Broniewskiego jest godny przemyślenia, przykład poezji, która nie opuszcza „miejsca urodzin" i była najgłębiej związana z teraźniejszymi doświadczeniami narodu i jego trudną historią. Trzeba ten przykład na nowo i głęboko rozważyć".*

W tym samym numerze **„POEZJI"** znajduje się arcyciekawy esej **G. Mounina** „Poezja i społeczeństwo" (przekład Joanny Guze). Obserwacje autora francuskiego dotyczą nie tylko sytuacji w jednym kraju, ale w równym stopniu obejmują także nasze doświadczenia. Mounin bada przyczyny, dla których poezji współczesnej się nie czyta, szuka powodów niewątpliwego kryzysu w stosunkach poeta — czytelnik. Nie ulega bowiem wątpliwości, że kryzys istnieje: *„to przede wszystkim te tysiące tomików, te edycje — niemal wszystkie — pośrednio czy bezpośrednio robione na rachunek autora, te nędzne nakłady i jeszcze nędzniejsza ich rozprzedaż" (...)*

A wracając do **„TWÓRCZOŚCI"** warto wymienić bardzo ciekawy poemat **Edwarda Stachury** „Po ogrodzie niech hula szarańcza", a przede wszystkim istotną wypowiedź **Jarosława Iwaszkiewicza** na temat mnożących się ostatnio inscenizacji teatralnych, które rozmijają się z dziełem, z intencjami twórcy. Ma ona charakter zdecydowanego protestu:

„Nie jestem filologiem, ale człowiekiem literatury i człowiekiem teatru. Jako literat żądam, aby przedstawienie jakiegoś utworu literackiego na scenie było identyczne samo z sobą, to znaczy aby Kordian był Kordianem, Nie-boska Nieboską, Dziady Dziadami, a Jadzia Wdowa Jadzią Wdową. Machinacje, które nasi reżyserzy i scenografowie przedsiębiorą ostatnio opracowując na scenę arcydzieła naszej literatury, są nie tylko oburzające, ale wymagają obrony tych dzieł przez gremium literatów, chociażby mobilizując prawdziwą krytykę teatralną w tej sprawie bez żadnej taryfy ulgowej. (...) Żądam, aby teatry dawały nam naprawdę teatr, nie cyrk, nie music-hall".

Sprawa jest ważna, tym bardziej, że nie dotyczy tylko teatru, ale także filmu i teatru, jak to nieraz można się było przekonać.

T. K.

Za dwa tygodnie:

rozmowa z I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie tow. Władysławem Kruczkiem

POWÓDŹ

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

W WSIACH nadbużańskich pomiędzy Włodawą a Kodniem powódź należy do zjawisk znajomych. Nikt tam nie wątpi, że o określonej porze roku woda znów zaleje pola. Cały szkopuł w tym, że nie wiadomo, kiedy dokładnie to nastąpi: w czwartek czy w piątek, o pierwszej w południe czy o pierwszej w nocy. Ale na wszelki wypadek ludzie mają swoje sposoby, które w jakimś stopniu ograniczają straty. Na przykład w oborach kładą ruchome, nie przymocowane do podłoża, podłogi, a napływająca woda podnosi je wraz z ryczącym inwentarzem. Nie jest to środek uniwersalny, zawodzi nieco przy bardziej obfitym wylewie i zdarza się, że przerażoną krowinę trzeba wyciągać przez dziurę w dachu.

Obok pewnego podziwu dla sprytu chłopów nadbużańskich kołacze mi się w głowie dość smutna myśl: ile dziesięcioleci, mokrych i wzburzonych, musiało upłynąć nim ludzie wpadli na ten prosty sposób samoobrony, a ile jeszcze minie do lat wolnych od corocznego lęku?

Można zrozumieć tych, którzy wiedząc, że woda będzie jak amen w pacierzu, sieją celowo rzepaki i dobrowolnie je ubezpieczają, a później, po obliczeniu szkód przez biegłych w fachu likwidatorów PZU, zbierają żniwo szybkiej orientacji i sprytu. Niewielu ich zresztą, bo tereny tu podmokłe i nadają się głównie na łąki i pastwiska, lecz pozostali tracą przecież na powodziach, które niszczą drogi, zmywają przepusty i szarpią drewniane chałupy.

Uniknęłoby się powodzi przez budowę wałów ochronnych nad rzeką i zgromadzenie nadmiaru wód w zbiorniku w okolicach Hrubieszowa, ale nie stać nas dzisiaj na te miliardowe wydatki. Poza tym wszelkie większe prace musiałaby poprzedzić umowa międzynarodowa. W tej chwili myśli się więc przede wszystkim o częściowym zabezpieczeniu Terespola i wartościowych gruntów przez podwyższenie nasypów drogowych i polepszenie stanu technicznego grobli i mostów. Tymczasem jednak mamy wyjątkową powódź, która zalała ponad 20000 ha ziemi wzdłuż Bugu, w tym 2300 ha zasiewów w powiecie Biała Podlaska.

* * *

Zerwany most na drodze do Kodnia kończy naszą jazdę. Wzburzona woda przelewa się przez zatopioną barierę, unosi żółty piasek szosy, na którym niczym obłędne zegary mistrza Salvatore leżą miękko płaty czarnego asfaltu. I to właściwie wszystko z oczekiwanej atmosfery napięcia. Kiedy jednak patrzy się na rozległe płaszczyzny marszczone wiatrem, kiedy odczuwa się ciepło wiosennego słońca, trudno nie poddać się wrażeniu spokoju, a nawet rozleniwienia.

Nasz przyjazd, a przede wszystkim błyszczące „oporządzenie" Andrzeja, ożywiły grupkę ludzi stojących nad wyrwą. Dopiero z bliska widać było, jak są zmęczeni: sierżant MO, Józef Mazur, z Lublina, który wraz z 15 kolegami czuwał nad porządkiem, kilku gospodarzy z pobliskiej wioski zalanej po okna w chałupach i saperzy przerzuceni tu spod Wyszogrodu.

— 61 lat, panie, żyję, ale tego jeszcze nie było — mówi gospodarz w brązowym kożuchu. — Najwięcej zalało w dwudziestym czwartym, ale nie tyle, co teraz. Później też były powodzie — w czterdziestym drugim, pięćdziesiątym drugim i pięćdziesiątym ósmym — wszystkie mniejsze, woda doszła tylko do tej strony szosy, nie przelała się na terespolską. Teraz przepadło i zboże i kartofle. Dobrze, że PZU... Wszystko przez ten most, który w środę 3 marca, tak koło dziesiątej, załamał się i puścił wodę. Przedtem był tu drewniany, carski jeszcze, ale wytrzymywał...

Dookoła lśni woda, na północy widać zabudowania Terespola, a przed nim pojedyncze chałupy zatopione na pół rhetra i więcej. Gdzieniegdzie tylko, na wysepkach, sucho i bezpieczniej, ludzie jednak opuścili domy, pozostały tylko koty i zające, które ostatnim wysiłkiem dopadły ziemi i zgodnie koegzystują; przypuszcza się jednak, że szkody w zwierzostanie są bardzo poważne.

Gdyby właśnie ten most wytrzymał — powódź byłaby na pewno mniejsza. Broniono go zresztą rozpaczliwie, wrzucono setki worków z piaskiem, ale i taka ilość nie mogła powstrzymać fali o wysokości 421 centymetrów. Kiedy później w Powiatowym Komitecie Przeciwpowodziowym zapytałem o przyczynę zniszczenia mostu, nie otrzymałem konkretnej odpowiedzi: „Niech wypowiedzą się fachowcy". Sądy półoficjalne były bardzo zróżnicowane. Jeden z saperów, było nie było też fachowiec, w gorących słowach dał wyraz swemu przekonaniu: „Panie, można było obronić, tylko wcześniej i z głową".

* * *

Po obejrzeniu resztek mostu wsiedliśmy do łodzi saperskiej i popłynęliśmy zalanymi ulicami Terespola: najpierw Łąkową a później Świerczewskiego. Aleksander Kocan przystojny plutonowy saperów, podawał tempo, czterej szeregowi wiosłowali rytmicznie, na dnie łodzi siedział radiotelegrafista z krótkofalówką. Tydzień temu pod Wyszogrodem, a teraz tutaj pomagali przy ewakuacji, dowozili żywność do wysepek i utrzymywali łączność. Byli piekielnie zmęczeni ponad miesięczną akcją i nieco zobojętniali na to wszystko, co działo się wokół.

Podpłynęliśmy pod zalany dom, przy którym przycumowała łódka. Starsza kobieta w długich gumowych butach wynosiła z domu garnki i poduszki. Andrzej raz za razem naciskał migawkę aparatu.

— Śmiać się czy płakać?! — zapytała kobieta i zręcznym ruchem poprawiła chustkę na głowie, strzepnęła słomę ze swetra i zrobiła „przyjemny wyraz twarzy".

Później zauważyłem, że tutaj ludzie nie demonstrują niepokoju z powodu powodzi. Może właśnie dzięki sprawnej ewakuacji kilkudziesięciu rodzin, natychmiastowej pomocy w postaci bezpłatnych gorących posiłków, dobremu zaopatrzeniu sklepów i ogólnej atmosferze zainteresowania i troski ze strony władz powiatowych i miejskich.

Zmobilizowano tu rzeczywiście wszystkie organizacje i instytucje, które w jakiś sposób mogły się przydać w akcji: grupy Ligi Obrony Kraju, straż pożarną i kolejarzy, Wojska Ochrony Pogranicza i milicję — w sumie 600 osób.

Ludzi tych spotkaliśmy też w samym Terespolu, przy drugim moście, który udało się uratować. Leżeli na stertach worków z piaskiem wokół gorącego koksownika, zasłonięci od wiatru „kurtyną" zszytą naprędce z pustych worków. Najgoręcej było tu jednak w nocy z 4 na 5 marca, kiedy rwący nurt wysokiej wody szturmował betonową przeszkodę. Wrzucono wtedy do wody ponad 3 tysiące worków i sto ton kamienia. Pokiereszowany nieco, lecz zdatny jeszcze do użytku most stoi dzięki poświęceniu tych ludzi.

* * *

Tak było w Terespolu. O sytuacji we wsiach nadbużańskich dowiedziałem się w Powiatowym Komitecie Przeciwpowodziowym, gdzie właśnie pełnił dyżur inżynier J. Nazaruk. Właściwie patrzyłem i przysłuchiwałem się rozmowom, bo ze zrozumiałych względów nie znaleziono dla mnie zbyt wiele czasu. Co chwilę dzwonił telefon, wpadali jacyś cywile, milicjanci i wojskowi, w sąsiednim pokoju terkotał radiotelefon.

— Co?! Chory na wyspie i nie chcą dać łódki? A to... — Nazaruk zaklął, polecił zrobić, co się da i rzucił słuchawkę.

Różnie w dniach powodzi wyglądała pomoc sąsiedzka, często ograniczała się do złośliwych przycinków i nieukrywanej satysfakcji ze strat gospodarza zza miedzy. W Jabłecznej nikt nie pomógł żołnierzom dźwigającym na ramionach pontony: „młody rocznik, he, he, dadzą sobie radę...".

Natomiast w Kodniu ludzie, powodowani naturalną solidarnością, ustalili dyżury czuwając całą dobę, dwa razy dziennie dowozili żywność i pomagali gospodarzom zatopionym gdzieś poza wsią. Podobnie było w Dobratyczach. Szczególną ofiarność wykazali wszędzie członkowie LOK.

Ogółem woda zalała 20 wsi. Z 14 ewakuowano ludność przy pomocy wojska i środków własnych.

Dla chorych przygotowano w Terespolu ośrodek zdrowia, przeprowadzono szczepienia zapobiegające durowi brzusznemu. Codziennie udzielano pomocy około 60 osobom. Lekarze przypuszczają, że wielka fala chorych dopiero nadejdzie. Ośrodek pełni dyżur 24 godziny, zastępca kierownika dr B. Uss śpi na zmianę z M. Korczakiem z Wydziału Zdrowia Prezydium PRN, pełne ręce roboty ma pielęgniarka M. Malicka, a dwaj lekarze Z. Kohutnicki i W. Horoszewicz czekają w karetkach pogotowia.

* * *

Faktem jest, że nie spodziewano się tak wielkiej powodzi i w tym wypadku można mówić o zaskoczeniu. Można też zastanowić się nad prawidłowością obliczeń hydrologicznych, według których określono przepustowość mostów. Trudno jednak wydawać jakieś sądy, ponieważ przekracza to kompetencje dziennikarza — „niech wypowiedzą się fachowcy".

Trzeba jednak przyznać, że zrobiono wszystko, aby pomóc ludności dotkniętej powodzią.

Teraz warto się chyba zastanowić nad sposobami uniknięcia zaskoczenia w przyszłości. Choćby tak wysoka woda miała przyjść dopiero za 50 czy 100 lat. Bo podobno ta właśnie była stuletnią.

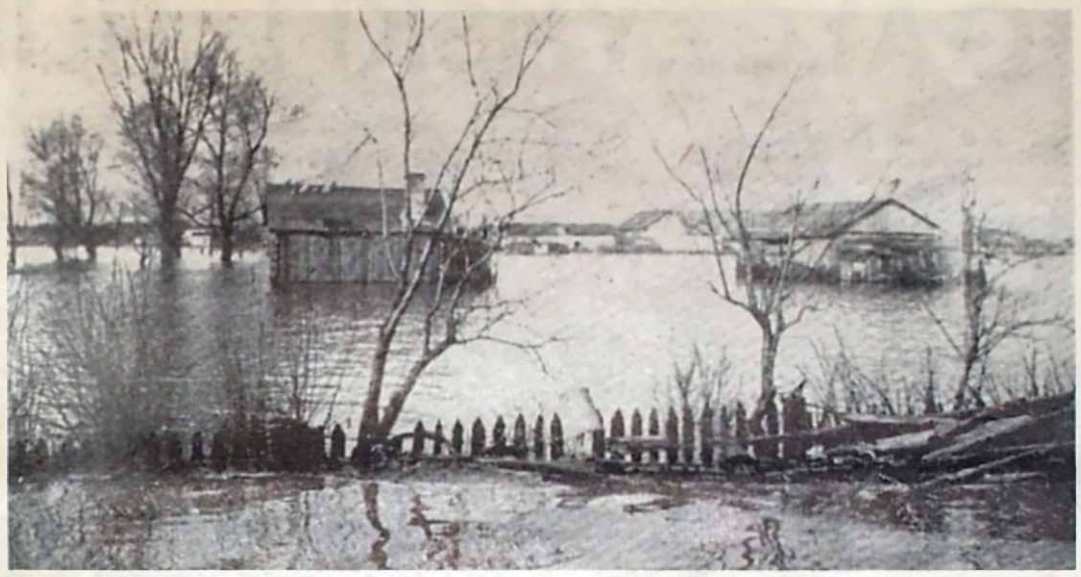

ZDJĘCIA: ANDRZEJ POLAKOWSKI

Inicjatywy kulturalne

GAŁCZYŃSKI I „FILIPINKI"

STEFAN JANUSIEWICZ

WYOBRAŹCIE sobie współczesną Arkę Noego z ludźmi. Chłopi z Wołynia, Polesia, z Wileńszczyzny, Białorusi i Kieleckiego, spod Hrubieszowa i spod Baligrodu. Chłopi z Mazowsza, Podlasia, Podkarpacia. Katolicy, prawosławni, grekokatolicy, świadkowie Jehowy i niewierzący już w nic. Czekający niegdyś na białego konia z Andersem i Mikołajczykiem i ci z partyjnym biletem PPR. To wieś.

Wyobraźcie sobie teraz miasto, w którym po asfaltowych ulicach łażą kury rozdrapujące koński nawóz, białe łazienki zapchane węglem i ptactwem, puste wielopokojowe mieszkania, w których suszy się bielizna, i kuchnie, w których na wielkim wyrku śpi ośmioosobowa rodzina. Ludzi na ulicach, zaciągających wszelkimi odcieniami kresowej polszczyzny i warszawskich cwaniaków zakładających gastronomiczny interes na rogu. Ludzi mówiących twardo z niemiecka, przybyłych tu ze Śląska, z Niemiec, z Francji, z całej Europy — prawdziwi polscy pielgrzymi. Wyobraźcie sobie tych, którzy z rosyjskich bezkresów przyszli tu z piastowskim orzełkiem na czapce i tych, którzy z tych samych syberyjskich obszarów przeszli przez Bliski Wschód, wylądowali na londyńskim bruku, aby w końcu zatrzymać się właśnie tutaj. I wreszcie ci, których koniec wojny zastał w podartych pasiakach i nawet tych, którym siłą nałożono niemiecki mundur.

Oto społeczeństwo. Oto ludność województwa szczecińskiego. Taki jest właśnie obraz tego społeczeństwa w pierwszych latach po wojnie.

Nie chce się wprost wierzyć, że tak właśnie było. Co się takiego stało, jaka siła z tych lotnych piaszczystych ludzkich wydm, w których każde ziarno można było swobodnie oddzielić, uczyniła prawdziwe społeczeństwo?

Dużo o tym pisano, jeszcze więcej trzeba napisać, bo historia naszego narodu nie zna drugiego takiego procesu — exodusu narodowego do swojej ziemi.

Moim obowiązkiem jest uzmysłowić czytelnikowi czym w takim społeczeństwie jest pojęcie kultura, co znaczy tworzenie modelu kulturowego — co wreszcie znaczy, że taki właśnie region z konsumenta — dóbr kulturalnych zaczyna się przeistaczać w świadomego producenta.

* * *

Po wojnie z kulturą było tak, jak wspomina w swych pamiętnikach Jurandot. Kiedy na pierwszej łódzkiej manifestacji pierwszomajowej pracownicy teatru pętali się po trasie pochodu szukając swojego miejsca w przemarszu, zagadnięty działacz odpowiedział:

— Kultura? To na końcu!

Taka też była praktyka. Bo inna być nie mogła. Tu, w Szczecińskiem, brakowało chleba, wszy po ludziach chodziły i daleko ważniejszą sprawą z dziedziny kultury było uruchomienie wodociągów niż teatru. Choć ten ostatni narodził się w Szczecinie w tym samym czasie, gdy z kranów zaczęła kapać woda.

Ale programu kultury nie mieliśmy. Owszem — mgławicowe zamysły, aby była masowa, aby obejmowała ogólnoludzki dorobek, aby zbłądziła pod strzechy.

A pod tymi „strzechami" z czerwonej dachówki siedzieli chłopi w poleskich łapciach, w kierpcach, w cholewach — wyrwani ze swoich gniazd i wegetowali każdy sobie. Co chata we wsi to inny obyczaj, inny folklor. W święta każdy zakładał inny serdak, ten maciejówkę, a tamten kapelusz. Musiało być coś, co tym ludziom kazało wierzyć, że są u siebie, wśród swoich. Od pierwszych dni było tym słowo drukowane — gazeta. I radio. Nie tylko przynosiły wieści, ale łączyły. Radio karmiło folklorem, który pozostał w dawnych stronach. To były pierwsze fundamentalne źródła kulturótwórcze na nowych ziemiach. Jeżeli dziś Szczecińskie na prasowej mapie Polski ma trzecie miejsce w kraju pod względem liczby czytanych gazet na głowę mieszkańca, to właśnie pierwsze lata po wojnie nauczyły ludzi obcowania z gazetą, która na wsi jest teraz jak sól, zapałki i cukier.

Wielki exodus wyrwał więc ludzi z kręgu ich folkloru, uwolnił ich od tradycji, przystosował świadomość do szukania innego, wspólnego dla wszystkich modelu obyczajowego, kulturalnego.

Dziś na ulicach miast szczecińskich z trudem rozpoznacie chłopa. Chyba po ogorzałej twarzy i po żylastych twardych rękach. W niedzielę w PGR chłopi przed kościołem w pilśniowych kapeluszach, ale z miejska, modnie skrojonych garniturach, w nonironowych koszulkach, w pantofelkach na podwyższonym, modnym obcasie. Nie mówię o kobietach. Z wiejskiego obyczaju pozostały tylko chustki i to modnie, z paryska, zakładane. Wieś szczecińska w obyczajach została zurbanizowana. Bardziej niż gdziekolwiek tradycyjna wieś polska.

W miastach szczecińskich (najbardziej zurbanizowane województwo), gdzie mieszkało od początku więcej chłopów niż miastowych, proces ten był jeszcze gwałtowniejszy. Obyczaj codziennego życia miejskiego, urządzenia komunalne, proces miejskiej stabilizacji, wreszcie szkoła, organizacje masowe i polityczne — wszystko to bardzo szybko zaczęło tworzyć społeczeństwo z obyczaju miejskie, uniwersalne, pozbawione dzielnicowych przegródek. Jeszcze ten i ów zaciąga z wileńska, ale dzieci mówią poprawną polszczyzną, a dziewczyna na obozie ZMW opowiada mi, że ze zdziwieniem usłyszała we wsi podkarpackiej, gdzie mieszkają dziadkowie, język, który jest dla niej śmieszny, niezrozumiały.

Przeżyło więc to społeczeństwo całkowitą rewolucję obyczajową i szkoda, że najnowsza historia Polski tak mało miejsca poświęca temu ogromnemu, niespotykanemu zjawisku.

Wydaje się, że w latach pięćdziesiątych tutejsi działacze od kultury nie uświadamiali sobie w pełni tych procesów zachodzących na wsi. Stanęli przed pustką, przed brakiem jakiejkolwiek tradycji, którą można by upowszechnić, przedstawić jako wzór do naśladowania. W tych czasach powstał pomysł z pyrzyckimi pasiakami. Pyrzyce to najżyźniejsza ziemia w Szczecińskiem — ona miała symbolizować zamożność i kulturę wsi. Były te pasiaki trochę łowickie trochę podlaskie, trochę góralskie — ot, ni pies ni wydra. Bo jakże to — każdy region kraju ma swoje ubiory, swoje tańce, swoje przyśpiewki, a co ma wieś szczecińska? Jak się pokaże na dożynkach? Stąd te pasiaki. Pasiaki nie przyjęły się i do dziś na lokalnych dożynkach maszerują chłopcy i dziewczęta w strojach krakowskich, góralskich, marynarskich lub po prostu zwyczajnych młodzieżowych dżinsach.

A w dziedzinie strawy duchowej istniał program powielany: zakładanie świetlic, a w tych świetlicach jakieś pogadanki, zabawy polewane winem, warcaby i gazety. Nic więcej. Aha, zespoły artystyczne koniecznie z programem folklorystycznym. Gdy cała polska młodzież śpiewała „Cichą wodę" — w zespołach wolno było śpiewać „Od Siewierza jedzie wóz".

Rachityczne były te zespoły, świetlice otwierane i uprzątane tylko na święta państwowe. Świetlice zakładano, ale życie towarzyskie toczyło się w knajpach i pod sklepami, w których nigdy nie brakowało jednego towaru: wina i wódki.

Nie inaczej w miastach. Też model życia świetlicowego. Tu świetlice, wytapetowane czerwienią i umajone karbowaną bibułką, tworzono wewnątrz fabryk, do których wstępu bronili uzbrojeni strażnicy.

Nuda, kurz i oficjalność panoszyły się w tym świetlicowym modelu kultury.

* * *

Trudno ustalić w czasie, kiedy to wszystko zaczęto odrzucać. Gdy dzisiaj sięgnąć pamięcią wstecz można sobie uzmysłowić, że proces przemian był narastający, aż stał się oficjalnym programem rozwoju kultury, propagowanym i polecanym do realizacji całemu regionowi szczecińskiemu. Chyba najwięcej zasługi mają tu młodzi działacze, wcale nie zawodowo pracujący w kulturze, a skupieni wokół Wydziału Propagandy KW PZPR. Taka jest cecha Szczecina, że inteligencje tworzą tu przede wszystkim ludzie techniki, ale o szerokich zainteresowaniach i z ogromną pasją do działania. Stąd jednym z najlepszych chórów akademickich w Polsce — chórem Politechniki Szczecińskiej kieruje inżynier, słynne „Filipinki" wylansował ekonomista, dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury jest inżynier itd.

Otóż postawiono na współczesny model kultury masowej. Zamiast świetlic wszędzie tam, gdzie istnieją określone warunki (dawne pałacyki, rezydencje junkrów, wybudowane przy PGR domy socjalne itp.) powstają rejonowe ośrodki kultury.

Rozdrobnione po różnych resortowych szufladkach środki finansowe na kulturę nie bez trudu są komasowane rejonami i dzięki nim utrzymują się ROK-i. Pracują w nich odpłatnie nauczyciele, wykwalifikowani pracownicy kultury, pracują społecznie ludzie, którzy swój region chcą przybliżyć do miasta, do świata. Z różnym szczęściem idzie ta praca, ale model przyjął się, został znakceptowany i co roku powstaje 10—15 takich ośrodków na wsi, a w nich młodzieżowe zespoły rozrywkowe, teatralne, chóralne. Na niezłym poziomie.

W miastach obrodziło klubami. Zwłaszcza Szczecin wyzbył się świetlic, a życie towarzyskie, spotkania, odczyty, prelekcje — bardzo mocno uczęszczane — odbywają się w klubach środowiskowych. Z początku obawiano się, że to będą zawodowe getta. Zanosiło się na to, ale gdy kluby otworzono i dla ludzi spoza środowiska zaczęła się zdrowa rywalizacja. Kluby spełniają dwojakie zadania: uczą i bawią ludzi, a jednocześnie nadają środowisku rangę kulturotwórczą. Świadomość tego faktu jest ogromna, zwłaszcza wśród inteligencji. I tak — najciekawsze imprezy teatralne i filmowe oraz najciekawsze prelekcje ma Klub 13 Muz (związki twórcze), klub pracowników spółdzielczości (teatr i prelekcje), kluby studenckie „Pinokio" i „Kontrasty" (imprezy artystyczne, najbardziej kontrowersyjne), klub garnizonowy (spotkania na tematy polityczne). I tak dalej i tak dalej.

To była jedna strona działania. Druga to wielka stawka na młodzież, zwłaszcza nastolatków. I stąd właśnie wzięły się „Filipinki", stąd ogólnopolski festiwal młodych talentów (o tym, co się później z nim stało warto powiedzieć osobno) i inne tego typu imprezy.

Powołano do życia coroczny Ogólnopolski Festiwal Malarstwa Współczesnego. Malarze to brać młoda, poszukująca, a odbiorca też młody, ciekawy — grunt pod taki festiwal idealny. I od czterech lat walą ludzie do sal wystawowych, a ponieważ rzecz dzieje się w lecie nie brak i turystów z całej Polski, nie mówiąc o Szwedach i Niemcach. Co roku następuje więc w Szczecinie malarska konfrontacja. Od zeszłego roku nie tylko ogólnopolska: grupa szczecińskich poetów i malarzy „Metafora" organizuje przegląd plastyki krajów demokracji ludowej. Takiej konfrontacji może nam pozazdrościć stolica.

Od kilku lat Szczecin jest też stolicą Gałczyńskiego. Festiwal jego poezji ściąga recytatorów, zespoły recytatorskie, krytyków nie tylko z Polski. I wreszcie festiwal organowy. Stara katedra w Kamieniu Pomorskim co roku w lecie zapełniona jest ludźmi, którzy w skupieniu słuchają świeckiej muzyki organowej w wykonaniu polskich i zagranicznych mistrzów. Inicjatywa tego festiwalu to sprawa grupy lekarzy z tego małego powiatowego miasteczka. Jeden z nich powiedział: „podejrzewają nas, że jesteśmy prowincją. Jeżeli chodzi o sprawy kultury życzyłbym niejednemu warszawiakowi, aby korzystał z niej, jak my korzystamy".

Rozwój i wybranie właściwego modelu kultury to w Szczecińskiem nie tylko sprawa dostarczenia ludziom normalnych warunków egzystencji i odpoczynku, to problem o wielkim znaczeniu integracyjnym. Każdy widzi jak poważne przynosi on korzyści, jak budzi patriotyzm lokalny, wiąże ogólne cele społeczne z osobistymi dążeniami ludzi. W konsekwencji tych osiągnięć możliwe było powstanie towarzystw regionalnych, skupiających inteligencję z poszczególnych regionów województwa. Jest to regionalizm specyficzny. Nie zamknięty dla własnych spraw, a skupiający ludzi, którzy chcą działać dla przyswojenia regionowi dorobku kulturalnego całego kraju, umożliwiający egzystencję nowym kadrom inteligencji, regionalizm patrzący poza granice swojego kraju, wyciągający praktyczny wniosek z faktu, że jesteśmy zachodnią rubieżą, stykającą się najbardziej z innymi społeczeństwami, z innym światem. Nazwałbym ten regionalizm nowoczesnym.

Ukoronowaniem tego ruchu było powołanie przed blisko dwoma laty Szczecińskiego Towarzystwa Kultury.

A przecież zaczynaliśmy z chłopami, którzy z trudem czytali książeczki do nabożeństwa.

Szczecin – na Starym Mieście

Fot. St. Cieślak

Szczecin - ul. Wielka

Fot. St. Cieślak

JÓZEF BURSEWICZ

Szkic do autoportretu

Nie wnikam w siebie
we mnie zima
tundra mrozu we mnie
czerwone sople żył
gorąca herbata
zamarza w krtani
tamuje słowa
które jak kulki śniegu
mrożą
nerwy błędne
człowieku
zamiast kieliszka koniaku
podaj mi promień słońca
i gałązkę bzu
niech będzie mi
ciepło
we wnętrzu antarktydy
zaziębionej
chemią
mojej własnej przekory.

Szczecin

LUBLIN W TYSIĄCLECIU (2)

Awans miasta

HENRYK ZINS

EPOKA Renesansu i Reformacji była widownią najświetniejszego rozwoju Lublina w dawnej Rzeczypospolitej. Lublin stał się wówczas ważnym centrum życia politycznego i gospodarczego, żywym ośrodkiem produkcji rzemieślniczej przede wszystkim wymiany handlowej. W rozwoju Reformacji rola jego była szczególnie doniosła, zwłaszcza jeśli idzie o radykalne skrzydło obozu różnowierczego — o Braci Polskich zwanych arianami.

O awansie Lublina do jednego z kilku najważniejszych ośrodków miejskich w Polsce XVI w. zadecydowały przede wszystkim wspomniane w poprzednim artykule (por. „Kamena", nr 5) czynniki polityczno-gospodarcze, dzięki którym miasto, położone od czasów unii polsko-litewskiej w centrum Rzeczypospolitej, na skrzyżowaniu ważnych międzynarodowych dróg handlowych, biegnących z zachodu na wschód i z południa na północ, stało się najbardziej dogodnym miejscem wymiany dla kupców Korony, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rusi. Na słynne jarmarki lubelskie, odbywające się od czasu przywileju Kazimierza Jagiellończyka z 1448 r. cztery razy do roku, przybywali oprócz kupców krajowych z Krakowa, Poznania, Lwowa, Gdańska itd. również liczni kupcy obcy — Anglicy, Francuzi, Niemcy, Włosi, Węgrzy, Grecy, kupcy z państwa rosyjskiego, a nawet Tatarzy, Ormianie, Turcy, Arabowie, Persowie i inni. Sprowadzano do Lublina na sprzedaż sukna z Anglii i Flandrii, płótna z nad Renu i Francji, jedwabie i aksamity z Włoch i Francji, kobierce z Persji i Turcji, korzenie i przyprawy ze Wschodu, futra, skóry i wosk z Litwy i Moskwy, wina z Węgier, Hiszpanii i Cypru, woły z Wołoszczyzny itd. Handlowe znaczenie Lublina najlepiej wyraził ówcześnie wielki poeta polskiego Odrodzenia i burmistrz lubelski z końca XVI w., Sebastian Klonowic w swej „Roxolanii":

„Moskwa i Litwa, co dadzą te [kraje,
Wnet do Lublina przywożą [gromadnie,
Co tylko w świecie przedawać się [daje,
Tutaj wszystkiego dopytasz się [snadnie,
Czym są bogaci Turkowie, Arabi,
Czym Indianie, wszystko się [odsłoni;
Tu pełno wschodnich bogatych [jedwabi,
Pełno sabejskich kadzideł i woni.
Brytański kupiec, co w podróży [długiej
Obiegł krąg ziemski na korabli [kruchej,
Łakomy plonów północnej żeglugi
Tutaj kupuje moskiewskie kożuchy.
W lublińskim mieście gromadzą się [wiernie
Płód całej ziemi z bliska i z daleka;
Tutaj nie braknie na starym [falernie,
Jest sok z winnicy Węgrzyna [i Greka".

Obcy kupcy przybywający na jarmarki do Lublina często osiedlali się tutaj, zakładając następnie warsztaty rzemieślnicze i sklepy, jatki, młyny i kuźnie. Obok Niemców osiedlali się w XVI w. Włosi, Węgrzy, Żydzi i Szkoci. Najżywsze jednak stosunki handlowe utrzymywał Lublin z najważniejszymi miastami Rzeczypospolitej, zwłaszcza z Krakowem, Lwowem, Poznaniem, Warszawą, Gdańskiem itd. Dogodne położenie sprawiło, że przewyższał swymi obrotami handlowymi nawet Lwów i spełniał ważną rolę w procesie tworzenia się ogólnego rynku gospodarczego.

Na wzrost handlowej i politycznej roli Lublina w XVI w. wskazuje również osiedlanie się wielu rodzin szlacheckich, których dwory przyczyniły się do upiększenia miasta (Gorajscy, Orzechowscy, Myszkowscy, Zebrzydowscy, Szamotulscy, Sobiescy). *„Niemałą ozdobą Lublina jest pałac JW-go Pana Marka Sobieskiego w miejscu widocznym zbudowany, z wielką starannością i niemałym kosztem"* — czytamy w opisie Lublina zawartym w dziele Brauna pt. „Civitates orbium terrarum" z pocz. XVII w. Pod koniec XVI w. ludność Lublina osiągnęła zapewne ok. 10000, co i pod względem zaludnienia stawiało Lublin wśród najznaczniejszych miast polskich epoki Odrodzenia.

W parze ze wzrostem rozwoju produkcji rzemieślniczej i wymiany handlowej rósł dobrobyt bogatego mieszczaństwa oraz jego znaczenie polityczne. W Lublinie przez dłuższy nieraz czas zatrzymywali się królowie z dynastii jagiellońskiej, zwłaszcza Zygmunt Stary i Zygmunt August okazywali miastu poparcie m. in. przez nadawanie mu przywilejów gospodarczych, a zwłaszcza handlowych. W Lublinie odbywały się w XVI w. często zjazdy szlacheckie oraz sejmy, tutaj w 1569 r. podpisana została unia polsko-litewska, mająca duże znaczenie dla handlowej roli miasta. Z okazji wspomnianych zjazdów stawał się Lublin miejscem pobytu wielu najwyższych dostojników państwowych, polskich i obcych (np. w 1569 r. bawili tutaj m. in. posłowie cesarza i papieża, a dalej osmańscy, moskiewscy, szwedzcy i in.). W Lublinie w czasie pamiętnego sejmu złożył hołd lenny Zygmuntowi Augustowi książę pruski Albrecht Fryderyk, co uwiecznił naoczny świadek hołdu Jan Kochanowski w utworze pt. „Proporzec albo hołd pruski".

Ekonomiczna i polityczna rola Lublina w XVI w. sprawiła, że należał on do tych nielicznych miast polskich, które wysyłały swych posłów na sejmy. Dokument z 1565 r. mówił, że mieszczanie lubelscy mieli prawo wyboru posłów na sejmy generalne według dawnego zwyczaju (od 1503 r. słyszymy o posłach lubelskich na sejmach Rzeczypospolitej).

Duże znaczenie dla wzrostu Lublina w epoce Renesansu miało utworzenie tu przez Stefana Batorego w 1578 r. Trybunału Koronnego, najwyższego sądu apelacyjnego dla Małopolski. Trybunał gromadził dużą liczbę szlachty i możnych województw: lubelskiego, krakowskiego i sandomierskiego, wielu prawników pracujących przy tym sądzie. Od założenia Trybunału zaczęła wzrastać liczba pałaców magnackich (np. Firlejów, Zebrzydowskich, Myszkowskich) oraz domów średniej szlachty. W okresie sesji Trybunału nasilało się życie kulturalne, trwały dysputy religijne, ożywiał się teatr jezuicki.

Szczególnie ważnym fermentem kulturalnym i ideologicznym stała się reformacja, znajdująca oparcie w toczącej się w mieście walce klasowej i konfliktach społecznych. Zwłaszcza w dziejach radykalnego kierunku reformacji — Braci Polskich, znaczenie zboru lubelskiego było od drugiej połowy XVI w. wprost ogromne. Można wyrazić pogląd, że we wczesnej historii arianizmu polskiego Lublin nadawał kierunek rozwojowi całego tego ruchu w Polsce, był siedzibą wielu znakomitych przywódców Braci Polskich o nazwiskach głośnych w całej Europie (np. Marcin Czechowic i Jan Niemojewski). Lubelski ośrodek odegrał więc wybitną rolę w kształtowaniu się jednej z najbardziej postępowych w sensie społecznym ideologii reformacyjnej XVI w., głoszącej hasła równości, pacyfizmu, tolerancji, miłości bliźniego i humanitaryzmu.

Już w XV w. znalazł oddźwięk ruch husycki, przeciwko któremu kardynał Oleśnicki zwołał w 1425 r. do Lublina zjazd duchowieństwa. Na początku XVI w. zwolennikiem haseł prereformacyjnych był Biernat z Lublina, atakujący możnych m. in. w wierszyku:

„Boć się u nich tako dzieje:
Małe wieszą wielcy złodzieje;
A gdyby sprawnie wieszli,
Mało by panów ostawili".

Na szerszą skalę zaczął się szerzyć w Lublinie kalwinizm ok.

(Dokończenie na str. 13)

CZAROWNICE

(Dokończenie ze str. 1)

nie będę rodzić dzieci!" — powiedziała jedna z miejscowych potentatek ziemskich. Tylko jedno dziecko jest powodem do dumy. Tego miejscowa opinia wynosi na piedestał. Nie ma więc w Szóstce wielu małżeństw wielodzietnych. Panuje tu moda na jedynaków, inaczej niż w okolicznych wsiach. Rozmawiam o tym z miejscowym bogaczem.

— Troje dzieci i więcej? — zdumiewa się. — To już chyba nędza wioskowa, panie! Co mu innego pozostaje, jak tylko dzieci płodzić? Bo biedny i tak nie ma z czego ziemi kroić.

— Są jednak we wsi małżeństwa wielodzietne — powiadam. — I niebiedne.

Mój rozmówca zaperza się.

— To z napływowych, panie! Miejscowi nigdy na to nic pójdą.

Ta mentalność powoduje częste konflikty rodzinne. W historii Szóstki doprowadziła ona już do niejednej tragedii.

W rodzinie H. zaszła w ciążę kilkudziesięcioletnia kobieta, matka jednego już dziecka. W domu H. zapanowało piekło. Tron był zagrożony. Mąż bezwarunkowo za żądał usunięcia płodu. Droga była prosta: do „babki". To ona przecież została powołana do regulowania procesów biologicznych, którym na imię majątek. Babki zaś uderzyły w gong. „W takim wieku trzeba jej tego było!" — szydzono. Wstyd więc prosić o pomoc rozplotkowane dewotki, a rodzić nie wolno! Zrozpaczona kobieta powiesiła się.

Nikt nawet nie usiłował zastanowić się nad powodem tragicznego kroku kobiety. Jej śmierć obwołano między opłotkami jako konsekwencję małżeńskiej niezgody.

* * *

— Hi, lekarza wołać? Po co?

Kobieta ma wiele ponad trzydziestkę. Jest typową dla tej wsi zamożną gospodynią. Sama jedynaczka, jednego tylko posiada syna. Więcej dzieci nie trzeba. Chodziła nawet do liceum, ale nie skończyła. Jej pasją są książki.

— „Babkę"? Ja sama wzywałam — mówi — bo do miasta daleko. A to i wygoda, bo pod bokiem, no i taniej.

— Ile? — pytam.

— Co się da, wystarczy nawet kopa jaj. A lekarz to ostatnią skórę zedrze. Pięćset złotych za zabieg, czasem tysiączek poleci. I więcej.

— No, ale to fachowiec — wtrącam.

— Iii. Babka nie gorzej zrobi. I nie ma rozgłosu, jak zrobią swoi. Nie tak peszy, pan wie!

Taniość zabiegu, skuteczność, dyskrecja... Wiadomo o tym daleko. Kobiety z okolicznych wsi ciągną więc tu na zabiegi całymi stadami.

Opowiedziano mi, jak do Szóstki przyszła młoda kobieta w piątym miesiącu ciąży. „Babki" przez kilkanaście dni „majsterkowały", zaklinały, parzyły ziółka, ugniatały brzuch, manipulowały drutem. Ale młody organizm jakoś wytrzymał. Kobieta wróciła do domu zdrowa i — bez płodu.

— W szpitalu by dłużej trzymali, panie! — chełpiła się „babka". — A udało się, jak lekarzowi. I w takim miesiącu. Lekarz by nawet nie chciał ruszać!

Inne zdarzenie. Krótko przed Bożym Narodzeniem 1965 r. gruchnęła po wsi „tragiczna" wieść. W rodzinie K. było już jedno dziecko, a na świat miało przyjść drugie. Małżonkowie nie chcieli do tego dopuścić. Ona przecież jedynaczka, on też jedynak... Nie może być inaczej w ich własnym stadle. Kobieta poddaje się interrupcji. Zabieg przeprowadzają dwie „babki" z kręgu rodziny. Wynik — krwotok i ogólne zakażenie ciała. Karetka pogotowia zabiera kobietę w stanie prawie agonalnym. Lekarzom już nie udało się jej odratować.

We wsi zatrzęsło się:

— Morderczynie... Morderczynie!...

Lżono je na drodze do kościoła, pomawiano między opłotkami, oburzano się w sklepach, na ulicy.

Moja znajoma eksliczealistka woła:

— Należy skończyć z tym partactwem. To czarownice! Młodej kobiecie życie zabrały. Na szubienicę je!

* * *

Milicyjna „Warszawa" z trudem przepycha się przez zaspy śnieżne. Szóstka wita nas z daleka okrągłymi kopułami cerkwi. Odwiedzam ponownie wieś.

— To machery, panie — opowiada sąsiad zmarłej. — Nie jestem stąd rodem. Ale dwadzieścia lat już tutaj mieszkam. I wiecznie to samo. Czarownicami je nazywają, a mimo to leczą się u nich. Ale trudno to udowodnić — ciągnie sąsiad. — Wszystko robi się potajemnie. Teraz był ten wypadek. I co z tego, panie?! Zmarła zabrała tajemnicę do grobu. Kto co udowodni? Aż znowu kogoś wykończą.

Powiedziano mi to samo przed wyjazdem w Prokuraturze Powiatowej w Radzyniu. Prokuratura nie może opierać się na poszlakach. Owszem, prowadzi śledztwo, ale szpital zbyt późno ją powiadomił. Nie można było zarządzić sekcji zwłok. Szpital zaś przeprowadził sekcję na własną rękę. Wycięto tkanki maciczne z zapaleniem ropnym, ale zeschły się, nim o nie poproszono. Rozmawiałem z chirurgiem, który operował delikwentkę po zabiegu „babek". Jego opinia brzmi jednoznacznie: „Zapalenie ropne tkanek macicznych nie było dziełem przypadku. Znaleźliśmy ślady zadrapań".

Rodzina zaś zmarłej bębni po wsi:

— To on ją tak urządził. Mężunio. Ten awanturnik i pijak. Nie chciał dziecka. Zbił ją tak, że była nieprzytomna. Zaraz po tym to się stało.

Rodzice nieboszczki mieszkają na skraju wsi. Wstępuję. Siedzi przede mną stara, wysuszona kobieta. Na pytanie o przyczynę śmierci córki porusza się niespokojnie.

— Podniosła wialnię — kłamie. — Przesiliła się. Z tego to wynikło. Tylko ludzie gadają bóg wie co!

Na pogrzebie córki mówiła inaczej. Podobno nerwy nie wytrzymały, gdy ujrzała „babkę", która przeprowadzała zabieg. Starucha leżała na trumnie i lamentowała. Matka krzyczała do staruchy:

— Odejdź! Nie płacz — teraz za późno. Trzeba było wiedzieć przedtem, co robić!

Wracam do wsi. Spomiędzy opłotków wychodzi chłop. Zastępuje mi drogę.

— Słuchaj-no pan! — zaczyna bezceremonialnie. — Słyszałem, że pan masz pisać o tej ciąży, co to „babki"...

— O co chodzi?

— To nieprawda, że „babki" miały coś wspólnego ze śmiercią tej kobiety. Cztery razy przerywały jej już ciążę. Ja to wiem. Zawsze było dobrze. Aż by teraz? To niemożliwe. Tu musiało być coś innego. Pisz pan tak!

We wsi jest jakieś zebranie. Wciskam się niepostrzeżenie. Chłopi stłoczyli się w gromadzkiej świetlicy. Wiedzą już, że ktoś przepytywał o wypadki. Nie wiedzą tylko kto. Teraz licytują się wzajemnie.

— Do sądu? — jęczy jakiś piskliwy głos męski. — Zmarłej i tak już nikt z grobu nie sprowadzi. Po co jeszcze starsze kobiety kopać? One tego nie chciały.

Ktoś z boku pomaga:

— To jemu stryczek się należy! Maltretował ją całe życie. Nawet na pogrzeb nie przyszedł.

Wychodzę na drogę. Robi się szaro. Między zabudowaniami wirują płatki śniegu. Nad eternitowymi dachami domów sterczą gęsto anteny radiowe i telewizyjne.

Jan Kołkowicz

JANINA BRZOSTOWSKA

Motyle

Leciały nie nad ogniem,
nad zielonym leciały ogrodem.
Trzepocące kolorami dniowce
niepylaki, łady, inorogie,
pazie, wietki, żeglarze, zorzynki,
wróże, wieszczki, witezie, nostrzynki...

Płynęły nad łąkami słoneczną, zieloną stroną,
złotawce i rusałki ozdobnie przystrojone,
krążyły wokół ostów pelwity mnogooczki,
junosze nad koniczem, nad ślazem pstre uroczki...
Polowce przysiadały na macierzance, mięcie,
kwiaty prężyły płatki pod czułym ich dotknięciem,
a one upojone pachnącym, kwietnym ciałem
w bezsilnym bezpojęciu rozkosz dawały i brały.

W poszyciu krzewów znikły
upałem przepłoszone
borowce, jastrzębice, szewnice owłosione.
Fontanny blasku cięły promieni ostrym żarem
owoce polnych wiśni czerwonych od udaru,
zamilkły głosy ptaków i skryły się w malinach
sochatka, widłogonka, dziwaczka i wielena.

Zawisak szklanym lśnieniem taneczne toczył tęcze
nad żoną jednodniówką, zalotną i niezręczną,
wesoła marzymłódka przelękła się ogromnie,
bo w oczy jej zajrzały złociste dwa szlaczkonie,
i popędziła na oślep — a zaraz za nią nastrosze,
pyszałki, przytuliaki, fertaki i krokosze...

I tak się wyrażała moc wielka przelotami,
lśnieniami i barwami, słodyczą, rozkoszami,
tak się wypowiadała nie głosem — kołysaniem
nad kwiatów osobliwym, pokornym pożądaniem.

Czas mijał. W któryś ranek chłodniejszy już i cichszy
odpoczywały w smółkach wieniawki i gładysze —
aż nagle rudoszyjka spadła w trawy na alarm,
że wielka żaglew słońca już się od nas oddala,
że traci moc niezwykłą czujna bujność przyrody,
że szarzeją jeziora, więdną pola, ogrody...

Przestrożnice z przestrogą nie umiały pospieszyć,
bo je pierwszy przymrozek zatrutą włócznią przeszył,
strzygonie, paciepnice, kapturnice i straszki,
jasnocie, osmaganki, dzióbice, przegibaszki,
znikły, jakby je nagle zgarnęła gęsta sieć,
i rudziejącą łąkę zarosła szronu sierść.

Apokalipsa piękna
nad ziemią tańczącego
na zawsze niezdolnego do innych dobić brzegów
niż te w zasięgu ziela drzew kwiatów traw i mchów —
poznała czas zagłady bezwiednie, na dnie snu.

Motyli już nie było —
choć ogień nie osmalił
ich lotek delikatnych, ich wąskich, smukłych talii.
Po wszystkich pozostało bezwładne, jak ornament,
zwiędłe, motyle skrzydło, w kącie okiennej ramy.

(Z cyklu „Zabawy")

Świat zaginiony

RYSZARD KRAŚKO

W TYTULE artykułu jest nieco przesady, na razie bowiem poza topnieniem śniegu na podwórku moim nie dzieje się nic aż tak strakcyjnego, żeby o tym warto było pisać. Ale kto wie? Może pod cieniutką warstwą wiosennego błota kryją się takie skarby, jak na podwórku pana Władysława Litwińczyka z Suraża, który ze znalezisk wygrzebanych we własnym ogrodzie i w bezpośrednim sąsiedztwie skompletował jedyne w województwie białostockim prywatne muzeum archeologiczno-numizmatyczne, a przy tym ni jedną skrzynię co ciekawszych okazów skamielin, wyrobów z krzemienia i rogu, a także monet wysłał do „prawdziwych" muzeów w Poznaniu i Białymstoku.

Inny mieszkaniec Białostocczyzny, rolnik ze wsi Jasionowa Dolina, ani podejrzewał, że niewielki pagóreczek, wznoszący się tuż przy jego domu, w który się „wkopał" uzyskując w ten sposób wcale wygodną piwnicę, jest w rzeczywistości nie „okopem szwedzkim", jak mówiono w okolicy, lecz najprawdziwszym kurhanem z epoki wędrówek ludów.

Mając w pamięci takie przykłady, trudno z całą stanowczością twierdzić, że np. w tym miejscu, gdzie w moim ogródku rośnie mocno już podstarzała grusza, nie stał półtora tysiąca lat temu dom jakiegoś Jaćwinga. Białostocczyzna wciąż jeszcze jest terenem niemal dziewiczym dla archeologów, a choć w ciągu ostatnich dwudziestu lat przesiano przez sita ziemię z wielu hektarów gruntu, to jednak zostanie jeszcze coś niecoś i dla następnych pokoleń.

Któreś z następnych pokoleń rozwiąże także, być może ostatecznie, zagadkę zniknięcia Jaćwingów. Na razie nasza wiedza o tym plemieniu jest tak fragmentaryczna, że nie potrafimy dokładnie określić gdzie mieszkali, czy byli plemieniem czy szczepem, czy wyginęli wyniszczeni przez Krzyżaków, czy jakieś sąsiednie plemiona, czy też osiedli na sąsiednich ziemiach i „wtopili się" w żywioł słowiański i litewski.

A jeszcze tak niedawno wszystko było proste i jasne. Napisał był ongiś Jan Długosz w swej „Historyi...", że Jaćwingowie byli ludem dzikim, trudniącym się myślistwem, hodowlą bydła i... grabieżą. Przez wiele wieków nikt nie usiłował tego podważać. Już za życia niżej podpisanego wyszła książeczka zatytułowana „Drohiczyn — stolica Jaćwieży". Poza paroma fachowcami, których głos nie docierał do mas, nikogo ta książeczka nie ubawiła. W krążącej wśród mieszkańców Drohiczyna legendzie do dziś żyje pamięć o szczerozłotej trumnie ukrytej w głębi Zamkowej Góry, w której spoczywają zwłoki ostatniego wodza Jaćwingów — Kumata. Bo i gdzieżby je miano pochować, jak nie w stolicy? To, że na uroczysku zwanym Kumat (w widłach Nurca i Branki) tenże sam Kumat według innej legendy został spalony na stosie i następnie pochowany — nikomu oczywiście nie wadzi. Świat legend rządzi się własnymi prawami.

Ale Jaćwingowie to nie legenda. Żyli, uprawiali ziemię, trzebili lasy, wytapiali żelazo z rudy darniowej, staczali zaciekłe boje ze swymi sąsiadami. Opisy wypraw wojennych przeciwko Jaćwingom zajmują sporo miejsca w kronikach ruskich, polskich, litewskich i krzyżackich. Jaćwingowie nie pisali kronik, ale wiemy, że do połowy XIII wieku nieraz pustoszyli ziemie Mazowsza, Lubelskiego, Sandomierskiego. A potem, dokładnie po roku 1280, zniknęli nagle z kronik i pozostała po nich pamięć jedynie w legendzie. Pozostały też grodziska zwane „pilikalniami" lub „szwedzkimi okopami", zespoły niewielkich kurhanów usypanych z ziemi i polnych kamieni, a w głębi ziemi pozostały nieliczne wyroby z żelaza, palonej gliny, brązu...

Czasami, bardzo rzadko, w szarzyźnie rozkopywanego kurhanu błyśnie drobina złota: pierścień, pozłacana klamra, zausznica, pozłacany paciorek szklany. Te ubogie „skarby", stanowiące dowód pośrednich lub bezpośrednich kontaktów Jaćwieży z Rzymem, kusiły dawnych rabusiów. Już w średniowieczu amatorzy łatwych zarobków rozkopali wiele kurhanów zabierając to, co wydawało im się szczególnie cenne i nisząc bezpowrotnie to, co dzisiejsi naukowcy uważają za bezcenne: gliniane popielnice, kości, resztki uzbrojenia lub narzędzi.

W lesie koło Szwajcarii na Suwalszczyźnie są kurhany większe niż gdzie indziej. Badający je od szeregu lat dr Jerzy Antoniewicz nazwał je umownie kurhanami „książęcymi", spoczywający w nich wojownicy byli bowiem wyposażani na swą ostatnią drogę o wiele bardziej szczodrze niż Jaćwingowie mieszkający w tym samym czasie w Osowej, Osinkach, Korklinach, Krzywólce i innych miejscowościach rozsianych wśród wzgórz i jezior Pojezierza Suwalsko-Augustowskiego. Koło Szwajcarii znalazł też dr Antoniewicz „grób rolnika", nazwany tak dlatego, że w kurhanie tym, obok szczątków kostnych mężczyzny zmarłego w wieku 25—30 lat, znaleziono kilka przedmiotów świadczących niezbicie, iż w III—IV wieku naszej ery Jaćwingowie trudnili się uprawą roli i to prawdopodobnie z pomocą radła. Znalezisko to wywołało zrozumiałą sensację wśród naukowców, bowiem uważano, iż uprawa roli na Białostocczyźnie zaczęła się kilka wieków później.

We wsi Osowa od dziesięciu lat gości co roku małżeństwo Jaskanisów. Najpierw przez kilka sezonów mgr Jan Jaskanis badał obszerne cmentarzysko. Wyniki tych badań nie były może tak sensacyjne, jak w Szwajcarii, ale dostarczyły wielu informacji o życiu Jaćwingów w wiekach od II do VI, o ich zwyczajach, wierzeniach. Nie jest przecież bez znaczenia fakt, że w pewnym okresie mieszkańcy tych ziem zaniechali pochówku szkieletowego i zaczęli palić zmarłych grzebiąc ich szczątki najpierw po prostu w jamie, a potem w glinianych urnach. Co spowodowało tę zmianę obyczaju — tego na razie nie wiemy, ale może i to się wyjaśni. Oto od czterech lat małżeństwo archeologów, z pomocą studentów i mieszkańców okolicznych wsi, rozkopuje starożytną osadę, której ślady znaleziono niespodal cmentarzyska. Z kwadratowych wykopów wylaniają się resztki prymitywnych fundamentów. Między chatami smugi pociemniałej ziemi zwiastują archeologom obecność jam. Czasem są to jamy magazynowe, czyli coś w rodzaju prymitywnych piwnic wykładanych kamieniami, kawałkami ceramiki, wylepionych gliną. Na dnie tych jam cierpliwa dłoń naukowca znajduje czasem skarb w postaci ziarenek zboża. W innym krańcu osady spotyka archeologów wyjątkowa gratka: śmietnik! W ciągu piętnastu wieków zniknęły wszystkie przykre cechy kojarzące się nam z takim miejscem, została tylko kwintesencja: kości, ości, pobite garnki itp. Wiedząc, co kryły w sobie „piwnice" i jakie resztki wyrzucano na śmietnik, niejedno można powiedzieć o menu starożytnych mieszkańców Suwalszczyzny. A fragmenty ceramiki są wręcz nieocenione, dzięki nim niemal bez pudła można ustalić, czy mieszkańcy tej osady po bardzo krótkim i trudnym życiu byli chowani na zbadanym cmentarzysku czy też nie.

Prace w Osowej potrwają jeszcze kilka lat, ale już dziś wiemy, że ludzie mieszkający tu w II—VI wieku naszej ery należeli do tego szmsgo plemienia, co ci spod Szwajcarii, Korklin, Żywej Wody, a nawet spod Ełku i Augustowa. Istnieją wprawdzie drobne różnice w pochówku między zachodnią i wschodnią częścią tego obszaru, lecz nie są one tak istotne, by na ich podstawie można było mówić o różnych plemionach. Wiemy także, że plemię zamieszkujące te ziemie siało trzy gatunki pszenicy, jęczmień, hodowało bydło, owce i świnie a także konie. Polowania na dzikiego zwierza nie musiały dawać zbyt dobrych rezultatów, bo kości zwierząt dzikich znajduje się bardzo mało. Ludzie ci lepili gliniane naczynia różnych kształtów i wielkości, a że poczucie piękna nie było im obce — ozdabiali je ornamentem „szczypanym", albo też wydrapywali ostrym przedmiotem zygzaki układające się w „jodełkę" i inne geometryczne wzory. Ku ozdobie służyły także paciorki bursztynowe, szklane oraz brązowe w postaci wisiorków lub dzwoneczków. Ozdobne plakietki emaliowane wyrabiane nad dalekim Morzem Śródziemnym były tu może traktowane jako amulety? Kobiety, jak i dziś, nosiły pierścionki, zausznice, kabłączki, zarówno one jak i mężczyźni zapinali szaty kuszowatymi zapinkami z brązu. Codzienne ubrania były zapewne zapinane na „hetki" z kostek baranich lub z drzewa. A przędzenie lnu czy konopi odbywało się, jak i na innych ziemiach, z pomocą wrzecion, których podstawową część stanowiła kamienna prząśliczka.

Naukowcy badający starożytną Jaćwież, Jerzy Antoniewicz, Danuta i Jan Jaskanisowie, Tadeusz Żurowski, Jerzy Okulicz i inni, zarzucą z pewnością zbytnią powierzchowność mojej relacji o Jaćwingach. W swoich pracach, publikowanych na łamach czasopism naukowych, a przede wszystkim w dwóch periodykach Białostockiego Towarzystwa Naukowego — „Roczniku Białostockim" i „Acta Baltico-Slavica", naukowcy ci zawarli mnóstwo cennych informacji, spostrzeżeń i wniosków. Językoznawcy, wśród nich prof. Otrębski i szwedzki naukowiec prof. Knut Olof Falk, każdy własną metodą, usiłują zdobyć bliższe informacje o języku ludzi zamieszkujących niegdyś Suwalszczyznę. W nazwach jezior i ich toni, w nazwach rzek i uroczysk prof. Falk szuka brzmienia słów dawno już przez nikogo nie wymawianych. Prof. Otrębski szuka tych słów w języku litewskim, w dialektach mazowieckim i podlaskim, dowodząc że pewne zjawiska fonetyczne, wśród nich i mazurzenie, zjawiły się w naszym języku pod wpływem dawno wymarłego, czy może tylko „wtopionego" w słowiański żywioł, ludu jaćwieskiego.

Historycy szukają w dokumentach wzmianek o tym ludzie, odczytują je na nowo, zestawiają z informacjami dostarczanymi przez archeologię i językoznawstwo. Dr Jerzy Wiśniewski, najlepszy znawca osadnictwa na Suwalszczyźnie, usiłuje dać odpowiedź na dwa pytania: jakie były granice terytorium zamieszkanego przez Jaćwingów do XIII wieku i co się z tym ludem stało? Już nikt dziś nie wierzy, że po prostu wyginęli w jednej, decydującej bitwie, jak to naiwnie tłumaczono sobie dawniej. Istnieją przecież do dziś wsie o nazwie Jaćwież; żyjący w drugiej połowie XVI wieku Stryjkowski wspomina o ludnym osiedlu jaćwieskim pod Rajgrodem; w rejestrze jezior królewskich z roku 1569 w opisie jeziora Wigry czytamy: „Na tym jezierze ostrowow... 16. Miedzy ktoremi jeden Na ktorym Dwor Kro Je m y gdzie Ludzie przed tym siedzieli Wigranie..." I kimże mogli być ci tajemniczy „Wigranie", jeśli nie jednym ze szczepów jaćwieskich?

Archeologowie w zasadzie nie wyszli w swych badaniach poza wiek VI—VII naszej ery. Nie badają jeszcze jaćwieskich osad średniowiecznych. A jeśli je przebadają, to czy dowiemy się co się n a p r a w d ę stało z Jaćwingami?

Zaginiony świat, zaginiony lud. Nie w Ameryce Południowej czy Australii, nie na zagubionym wśród oceanu archipelagu wysepek, lecz w Europie, w Polsce. Lud ów nie wznosił wspaniałych świątyń z marmuru ani gigantycznych piramid, nie zostawił po sobie nawet tajemniczych figur kamiennych, takich jakie znalazł na Wyspie Wielkanocnej Thor Heyerdahl. Może dlatego lud ów nie doczekał się jeszcze ani swego Heyerdahla ani Kosidowskiego? A może dlatego wciąż czeka na kogoś, kto go „odkryje" dla szerokich rzesz społeczeństwa, że jest tak blisko, tuż, niemal na własnym podwórku? Jest coś takiego w naturze człowieka, co każe mu się pasionować tym co dalekie, niedostępne i mijać obojętnie to co bliskie, swojskie.

Trochę na przekór temu piszę reportaż z własnego podwórka...

CISZA PRZED BURZĄ

(Dokończenie ze str. 1)

zebraniach, posiedzeniach, uroczystościach, nawiązuje do sentencji wyrytej na frontonie świątyni Sybilli: Przeszłość — przyszłości. Pomostem łączącym tradycje polskich Aten z dniem dzisiejszym stanie się kombinat chemiczny, jeden z najnowocześniejszych i największych w świecie.

Mieszkańcy Puław — jak dawniej — z zapałem oddają się komentarzom lokalnych wydarzeń. Właśnie dzięki zabiegom przewodniczącego Prezydium MRN wzniesiono jeden z pomników. Zyskał powszechną akceptację: jest piękny.

Ale cóż znaczy jeden pomnik? Więc — wbrew głosom rozsądku ze strony części radnych — buduje się drugi pomnik. Postać, która stanęła na betonowej płycie, jest nienaturalnie chuda i do złudzenia przypomina jednego z mieszkańców Puław. Trwają na ten temat uszczypliwe komentarze.

Uwadze oceniających nie uszedł i taki drobny szczegół: postać ma charakterystyczną, raczej niezamierzoną pozę. Mówi się: nie może doczekać się otwarcia WC. Fakt ten puławiacy wiążą z niebywale opieszałą budową miejskiego szaletu, usytuowanego nieopodal pomnika.

Wreszcie ubikacja otwarta. Unoszą się charakterystyczne zapachy. Ludzie znów komentują wygląd pomnikowej postaci: nie wytrzymał — odwrócił głowę, bo jak długo mógł wąchać...

Pomijając te dość prymitywne żarty, nie sposób nie zauważyć: pomnik wzniesiono z pieniędzy, które niektórzy radni proponowali przeznaczyć na budowę lub adaptację niezwykle potrzebnego przedszkola.

Tymczasem po mieście krążą pogłoski o budowie fontann. Potwierdzają je wynurzenia ojca miasta, zawarte w jednym z artykułów w „Życiu Warszawy". Komentarz — oczywiście — kpiący.

Coraz częściej mówi się w Puławach:

— Problemy przerosły władze. Tak dłużej być nie może. Dojdzie do zmian. Azoty przechwycą rządy.

Są i inne głosy:

— Naukowcy obsadzą władze miejskie i powiatowe. Ci właściwie pokierują życiem.

— Nie zechcą — padają zastrzeżenia.

— Tym lepiej...

— Dlaczego?

— Za bardzo się cenią.

— Jeśli nawet wejdą do władz miejskich, nic to sytuacji nie zmieni.

— Czyżby?

— Tak. Nie inaczej. Widać to choćby po naszych instytutach. Oba mają światową sławę, a mimo to w okolicznych wsiach krowy chodzą zabiedzone i brudne, rolnicy w nieznacznym stopniu korzystają z wyników badań w dziedzinie uprawy, nawożenia i hodowli.

— Czy Azoty coś polepszą?

— Już zmieniają wieś. Chłopi, którzy pracują przy budowie, a jest ich ponad tysiąc, powoli się dorabiają.

— I co z tego: sprowadzą się do Puław. Miasto ciągnie, jest atrakcyjne. Tylko kto zostanie na roli?

— Czy muszą mieszkać w Puławach? Czy nie można stworzyć im warunków równie dobrych w okolicznych miasteczkach i wsiach?

* * *

Trwa owczy pęd do Azotów i przedsiębiorstw wykonawczych. W puławskich zakładach pracy i instytucjach popłoch: zwalniają się także najlepsi fachowcy. Plany produkcyjne są zagrożone, trudno sprawować funkcje kierownicze, wydawać decyzje, bo w każdej chwili może paść zdanie: „Nie podoba się, to cześć! Mam robotę w Azotach". W taki sposób odchodzili pracownicy z Bacutilu, stoczni, Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni Samopomoc Chłopska, z rad narodowych, „Jak konkurować z wielkim zakładem przemysłowym, gdy się jest wobec niego liliputem?"

W Prezydium Powiatowej Rady Narodowej wydział zatrudnienia odmawia pracownikom rad i traktorzystom kółek rolniczych skierowań do Azotów. Decyzja spotyka się z ostrą krytyką: W XX wieku obowiązuje średniowieczna zasada „przypisania do ziemi"? Pęd do Azotów zahamowuje samo życie: uciekinierom powodzi się niewiele lepiej niż w poprzednich miejscach pracy. Zdobycie mieszkania nie jest sprawą tak prostą, jak sobie wyobrażali. Wprawdzie — jak na warunki puławskie — w wyjątkowo szybkim tempie wzniesiono osiedle Kaniowczyków, lecz zamieszkali je w większości przybysze, inżynierowie i technicy. Z puławisków szczęście dopisało m. in. kierowcy (dyrektora) i milicjantom.

Osiedle prezentuje się ładnie, mieszkania są dobrze wyposażone. Zwykła ludzka zazdrość objawiająca się w uszczypliwych komentarzach towarzyszy przeprowadzce nowych lokatorów, którzy z Oświęcimia, Tarnowa, Chorzowa, Kędzierzyna transportują meble. Przeprowadzka oznacza dla nich zakończenie życia hotelowego, które wiedli w Puławach oddaleni od rodzin, mieszkając w bloku odstąpionym Azotom przez Miejską Radę Narodową. Teraz wiążą się z miastem na stałe.

Jaki jest stosunek przybyszów do miejscowej ludności, władz, tradycji? Za ideał uważają Śląsk, który jest synonimem porządku, dyscypliny, wzorowej organizacji pracy, handlu, usług. Większość traktuje Puławy jako malowniczą wieś z ciekawą historią. Widzą trudną sytuację miasta, któremu nagle przyszło borykać się z problemami nigdy dotychczas nie występującymi. Mówią:

— Puławami na co dzień powinny interesować się władze wojewódzkie.

— Czas otrząsnąć się z samozadowolenia, że Azoty powstały w Puławach.

— Kombinat nie jest przysłowiową manną z nieba. Zrodzi dziesiątki spraw niezwykle trudnych, konfliktowych.

— Wokół sporządzania dla miasta planu szczegółowego narosła jeśli nie skandaliczna historia, to co najmniej obfitująca w przykłady ogromnego niedbalstwa. Spowoduje to prawdziwie cierniową drogę rozwoju Puław.

— Odłogiem leżą zagadnienia inwestycji towarzyszących. Jeśli w porę nie zapewni się powstania szkół, przedszkoli, sklepów, restauracji, hotelu, ośrodków życia kulturalnego — dojdzie do wielu powikłań. Odbije się to przede wszystkim na załodze budującej Azoty. Odczują to także zasiedziali mieszkańcy.

— Więcej zainteresowania miastem wielkiej chemii, myślenia pod kątem zmienionych potrzeb.

Czy nowi mieszkańcy tylko postulują, żądają?

— Chętnie społecznie pomożemy władzom — mówią. — Wśród nas są specjaliści wszystkich dziedzin.

Czy to czcze deklaracje? Z własnej woli opracowali projekt leśnego parku w Puławach. Nikt im nie zalecał utworzenia uniwersytetu powszechnego o kierunku chemicznym, lecz oni w największe mrozy i zawieje jeżdżą z wykładami do Janowca, Łopatek, Baranowa, Wąwolnicy, Chrzachowa, Nałęczowa, Śniadówki, Osin, Zarzecza.

— Pan sobie nie zdaje sprawy — mówi inżynier Rudolf Luber — jak bardzo ludzi interesują nasze prelekcje. Po każdym wykładzie przywozimy resztki eksponatów z tworzyw sztucznych, bo słuchacze je zabierają, aby pokazać dzieciom, kuzynom, znajomym. Chłopi pytają najczęściej o wartość mocznika jako paszy. Wyjaśniamy, że jeden kilogram to tyle, co osiem i pół kilograma makuchu. Ten przykład bardzo im pomaga zrozumieć czym będą dla rolnictwa Azoty.

W kołach naukowych i oświatowych Puław żywo śledzi się poczynania przybyszów. Obok życzliwości i poparcia są i sceptyczne komentarze:

— Chcą się pokazać, zabłysnąć.

— Społecznikowska pasja szybko im minie, a wtedy zaczną robić pieniądze.

Inżynierowie z Azotów wyczuwają, że współpraca z naukowcami, jaką usiłowali nawiązać, napotyka na przeszkody. Jedna ze stron uważa się za ważniejszą. Ten stosunek jest wyrazem specyficznego klimatu, jaki zapanowuje w mieście: miejscowi ludzie coraz częściej odnoszą się z rezerwą do przyjezdnych. Jeśli przybyszom coś się nie powiedzie, jak na przykład zabawa sylwestrowa, na której zabrakło orkiestry i dopiero po kilku godzinach wyczekiwania sprowadzono muzykantów — jest jakaś cicha satysfakcja. Czy można mówić o wrogim stosunku?

Wyczuwa się, że społecznością miasta targną konflikty, że w Puławach się zakotłuje. Na razie jest jeszcze cisza. Niestety, tylko pozorna.

Romuald Karaś

GRANICE ODPOWIEDZIALNOŚCI

ZBIGNIEW FĄFROWICZ—KAZIMIERZ LINKOWSKI

Zapiski poniższe powstały z naszych przypadkowych i nieumówionych spotkań, wielogodzinnych gorących dysput o sprawach, koło których nie można przejść obojętnie. Tak się złożyło, że jeden z nas kilka ostatnich zeszłorocznych miesięcy przebywał za granicą, w tym dłuższy czas w NRF. Obaj należymy do pokolenia, dla którego miniona wojna nie jest tylko zapisem historycznym zamkniętym na kartkach podręcznika. Kiedy więc dziś padają słowa o przebaczeniu w imię chrześcijańskiej miłości, trzeba ustalić granice odpowiedzialności i odpuszczania win. Trzeba ocalić od zapomnienia niezafałszowany obraz tamtych dni — aby nie powtórzyły się już nigdy więcej.

I

BYŁ uczniem tej samej szkoły w Chełmie. Nosił identyczny granatowy mundurek, taką samą gimnazjalną czapkę i na niebieskiej tarczy wyhaftowany miał ten sam numer. Widywało go się również w stroju harcerskim, a złocąca się na krzyżu lilijka wskazywała na wyższy stopień w organizacyjnej hierarchii. Poza tym specjalnie nie zwracał na siebie uwagi. Byłem zresztą w niższej klasie, w innym kręgu przyjaciół i rówieśników.

Jesienią 1939 roku nie nosił już ani harcerskiego, ani gimnazjalnego mundurka. Na nogach miał lśniące czarne „oficerki", na głowie tyrolski kapelusz, a w klapie mały, z daleka błyszczący znaczek; ludzie omijali go z obawą. Nazywał się Lindner. Nocami jego kroki dudniły głucho po schodach uśpionych kamienic i towarzyszyły sprowadzanym do samochodu mieszkańcom. A topografię miasta znał doskonale, bo przecież tutejszy. „Rodak". Znał wszystkich i wszystko o wszystkich wiedział.

Lindner, o ile wiem, nie doczekał końca wojny. Podobno zmarł na tyfus podczas „triumfalnego" pochodu na wschód. Gdyby się jednak uchował, czy dzisiaj wołałby o swoje „niemieckie prawo do ojczyzny?" Czy uważałby, że ta „jego" ojczyzna leży nad rzeczką Uherką, w maleńkim miasteczku na wschodnich krańcach Lubelszczyzny?

II

Nie świadczyłem wydarzeniom, które spowodował list biskupów polskich. Kiedy DPA opublikowała tekst orędzia byłem już w pociągu, w drodze do kraju. Mogę więc mówić jedynie o klimacie, który go poprzedzał. Nie chciałbym powtarzać rzeczy starych i ogólnie znanych. W mojej opinii dzisiejszą NRF to kraj o pewnej stabilizacji gospodarczej, ale niepewnym politycznym jutrze. To państwo, w którym nie ma właściwie jednolitego programu czy doktryny politycznej.

W połowie sierpnia poszedłem na jedno z przedwyborczych zebrań w Hamburgu. Przemawiał przewodniczący Bundestagu, dr Gerstenmeier. Poświęcił wiele słów sprawie zjednoczenia Niemiec, uzasadniał konieczność żołnierzy, ostro potraktował pisma Gomułki i Rapackiego [illegible] wiele mówił o sobie, o tym, jak był prześladowany przez Gestapo. Nie są to rzeczy nowe. Szereg polityków bońskich przedstawia swą antyrasistowską drogę z jednoczesnym propagowaniem hitlerowskich tez. Oficjalna polityka rządu, a przede wszystkim rządzącej CDU, negowała i neguje ostateczność postanowień poczdamskich i granic na Odrze i Nysie. Coraz powszechniej jednak słyszy się opinię o konieczności pogodzenia się z istniejącym stanem i realnym spojrzeniem w przyszłość. Tendencja ta znajdowała niebagateln liczbę zwolenników także wśród przesiedleńców. Świadczą o tym wyniki ankiety rozpisanej w ubiegłym roku przez Institut für Demoskopie w Allensbach:

„Czy sądzi pan(i), że Pomorze, Śląsk i Prusy wschodnie będą ponownie należały do Niemiec, czy też są one na zawsze stracone?"

Odpowiedź:	1953 r.	1965 r.
— na zawsze stracone	11%	46%
— będą znowu należały do Niemiec	66%	28%
— niezdecydowani	23%	26%

50 proc. Niemców w wieku od 16 do 29 lat uważa granicę na Odrze i Nysie za ostateczną. Jedynie 23 proc. ma nadzieję na jakieś zmiany. Wśród członków SPD 52 proc. uznaje sprawę granic za przesądzoną, w CDU pogląd ten wyznaje 42 proc.

Można więc przyjąć, że co drugi Niemiec w NRF patrzy mniej więcej trzeźwo na sytuację i realnie ocenia polityczne konsekwencje przegranej wojny.

Kiedy po wyborach rozmawiałem z Niemcami, wielu z nich miało wyrobiony pogląd na przyczyny, które złożyły się na zwycięstwo CDU. Jeden z posłów do Bundestagu z ramienia SPD tak to scharakteryzował: — Na kim oparła się CDU? Przede wszystkim na głosach ludności wiejskiej, kupując je po prostu państwowymi dotacjami dla chronicznie deficytowego rolnictwa NRF. Podobnie jest i z kościołem, który także suto dotowany, w całej rozciągłości poparł swoją partię. Nie żałowano, oczywiście, obietnic dla przesiedleńców, dając im dość mgliste nadzieje powrotu.

A kościół? No cóż, Niemcy byli zawsze religijni. „Gott mit uns" — to hasło od wieków towarzyszyło niemieckim wojskom. Pamiętamy je dobrze wyryte na klamrach pasów hitlerowskich mundurów. Bo Hitler też znalazł wspólny język z niemieckim duchowieństwem.

III

Leży przed nami wyblakła, stara latami książka: „Braunbuch über Reichstagsbrand und Hitlerterror". Nie tytuł przecież nas interesuje. Brunatnych ksiąg wydano już wiele, a o zbrodniach hitlerowskich nie nas trzeba przekonywać. A przecież jest to książka zasadnicząca. Wydana została w Bazylei w połowie 1933 r. przez Światowy Komitet Ofiar Niemieckiego Faszyzmu. Na jego czele stali prof. Albert Einstein i Anglik lord Marley. W 1933 r. świat otrzymał pierwsze ostrzeżenie i wstrząsające relacje o rodzącej się zbrodni.

Jest coś przerażającego w zestawieniu opisanych tu faktów i daty powstania tego dokumentu. Na str. 321 relacja z pogrzebu zamordowanego przez bojówkę SA robotnika Gumbera. Rodzina otrzymała zwłoki w zaplombowanej trumnie z zakazem otwarcia. Oficjalne zawiadomienie władz donosiło, że Gumber zmarł na krwotok żołądka. Nie uwierzyli w to przyjaciele zmarłego. Trumnę otwarto. Gumber został bestialsko zamordowany uderzeniami łańcucha. Do udziału w pogrzebie SA nie dopuściło kilku tysięcy przybyłych robotników. Nad osamotnioną trumną ostatnią kapłańską posługę spełniał duchowny z demonstracyjnie przypiętą do sutanny swastyką.

Jeszcze w 1930 r. wołał Hitler przed sądem: — *„Głowy będą spadać, tak jest głowy będą spadać"*. I spadały. Szef policji hitlerowskiej, trawestując słowa francuskiego kardynała wypowiedziane w słynną noc św. Bartłomieja, zagrzewał do krwawych wystąpień brunatne szeregi SA: *„Zabijajcie wszystkich, Bóg już swoich chrześcijan odnajdzie!"*

Po czystce w Pruskiej Akademii Literatury, kiedy usunięto obu Mannów, Wassermana, Döblina i wielu, wielu innych, jeden tylko H. Johst wybrał hitlerowską koniunkturę, a jego dramat „Schlageter" wszedł na sceny setek teatrów niemieckich. To właśnie jeden z bohaterów jego sztuki wygłaszał słynne, powtarzane później przez Goebbelsa zdanie: *„Kiedy usłyszę słowo kultura, odbezpieczam mój browning"*.

A na wspaniałych paradach w gęstwinie sztandarów, swastyk i emblematów, w ciżbie czarnych mundurów wyciągały się w hitlerowskim pozdrowieniu ręce dostojników kościoła. Ręce, których przeznaczeniem było rozgrzeszać i błogosławić.

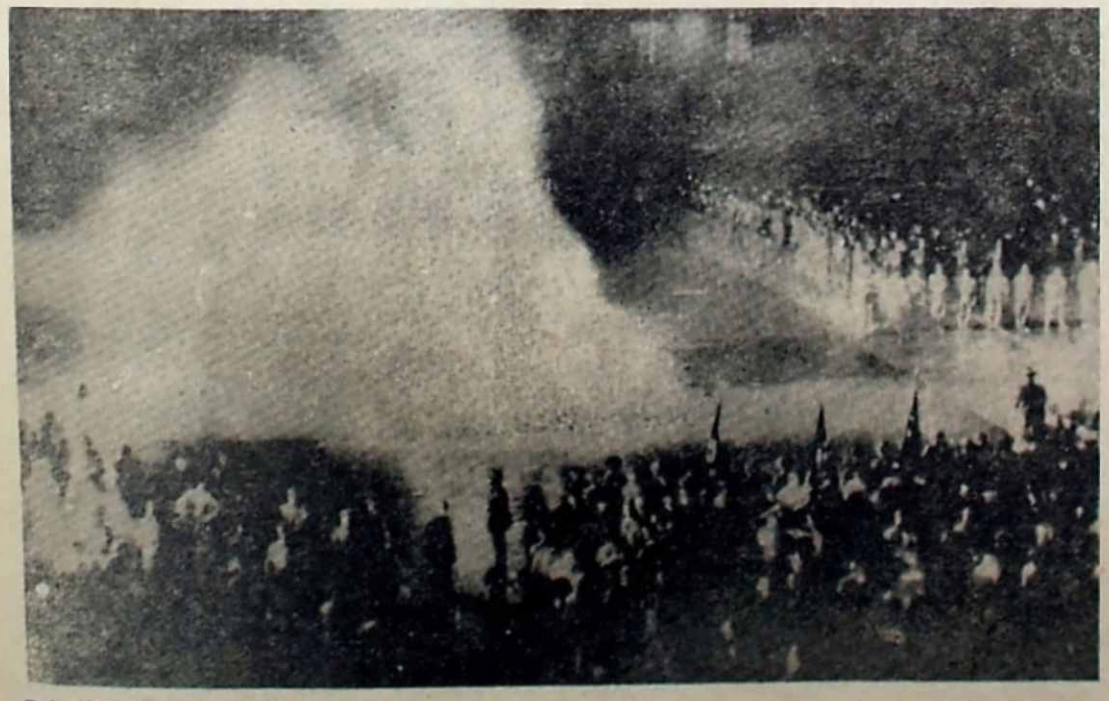

Rok 1933. Palenie książek...

Jedna czy dwie literatury niemieckie?

NA pytanie, czy w warunkach pogłębiającego się podziału Niemiec, kroczących przeciwstawnymi drogami, można mówić o istnieniu jednej literatury niemieckiej, próbuje odpowiedzieć krytyk literacki Heinz Juergen Staszak w NRD-owskim dzienniku „Ostsee Zeitung". Głos ten przedrukował z kolei tygodnik kulturalny NRD „Sonntag".

Autor pisze: **„Odpowiedź wydaje się z pozoru łatwa. Istnieją dwa państwa niemieckie, a więc istnieją chyba także dwie literatury niemieckie, skoro mówi się o literaturze szwajcarskiej, aczkolwiek ta ukazuje się również w języku niemieckim. Zaraz nasuwa się jednak zastrzeżenie: już Goethe mówił o niemieckiej literaturze narodowej, chociaż żył w Niemczech, które stanowiły twór wielopaństwowy. Oba państwa niemieckie różnią się jednak dzisiaj, w przeciwieństwie do małych państewek z 1800 roku, w sposób zasadniczy odmiennością ustrojów społecznych. Na bazie takiej odmienności powstają także odmienne literatury".**

„W tym miejscu także wysunąć można zastrzeżenie. Dzieł Tomasza Manna, który zmarł w sześć lat po rozbiciu Niemiec, nikt nie przydzieli do żadnej z obu literatur „państwowych". A więc istnieje mimo wszystko jedna literatura niemiecka? Aczkolwiek istnieją w Niemczech dwa państwa o odmiennym charakterze klasowym, to jednak istnieje tylko jeden naród, a w rezultacie również tylko jedna literatura narodowa. Kto jednak przynależy do tej literatury narodowej?"

Powołując się następnie na przykład postępowego pisarza Petera Weissa, który zapytany, czy uważa się za pisarza zachodnioniemieckiego odpowiedział, że jest pisarzem „niemieckim", autor artykułu pisze: **„Obiektywnie Weiss uświadamia sobie, że pojęcie pisarza literatury „niemieckiej, narodowej" łączy się z postępowością. Lata całe zachowywano się w zachodnioniemieckich kołach literackich tak jak gdyby ojczyzną niemieckiej literatury narodowej była NRF, zaś to co pisano w NRD było tylko „oficjalną partyjną propagandą". Później zaczęto łaskawie przyznawać, że tu i owdzie także w NRD powstały pożyteczne utwory literackie. Od pewnego czasu natomiast zaczyna się w Niemczech zachodnich mowie o literaturze „ogólnoniemieckiej" z tym, że zamiarem autora chce się podciągnąć pod to pojęcie tych pisarzy NRD, których utwory pasują także pod pewnymi względami politycznymi do bońskiej koncepcji „ogólnoniemieckiej".**

Autor kończy rozważania następująco: **„Niemiecka literatura socjalistyczna jest i będzie decydującym czynnikiem niemieckiej literatury narodowej. Miejsce w tej literaturze znaleźć mogą tylko ci pisarze, którzy tworzą w interesie i dla przyszłości narodu".**

(Kt)

Widziałem imprezę zorganizowaną przez Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Niemieckiej (agenda YMCA) na zakończenie wakacji. Noc, płonące znicze, las sztandarów i proporczyków, jednakowe mundurki, pieśni. Za kręgiem młodzieży rozczulone i zachwycone twarze rodziców. Mnie zaś wydawało się, że widzę jak na kronice filmowej pamiętne juble HJ. Te pruskie tradycje wycnowania są ciągle jeszcze silnie zakorzenione. Niepokojąco tradycje. Bo przecież to ta sama, prawicowa, chrześcijańska młodzież pali na stosach książki. Działo się to w 1965 r., zaledwie parę miesięcy temu. Ziarno nienawiści zostało zasiane. Historia jest nieubłaganie demaskatorska. 26 kwietnia 1933 r. gazeta „Nachtausgabe" opublikowała listę „książek godnych spalenia". Jest na niej Schalom Asch i Henri Barbusse, Bertold Brecht, Alfred Döblin i Ilia Ehrenburg, Lion Feuchtwanger i Jarosław Hašek, Egon Erwin Kisch, Henryk Mann, Erich Maria Remarque, Kurt Tucholsky, Arnold i Stefan Zweigowie. Wkrótce potem zapłonęły stosy. Niszczono i wykreślano z pamięci narodu jego najchlubniejsze karty.

W tym samym czasie powstała mało u nas znana powieść Goebbelsa zatytułowana „Michael, czyli los Niemca z kart dziennika". W swych wizjach bohater książki szuka niemieckiej duszy, którą chce pokonać komunizm. Rozgrywa się walka. *„Ale ja jestem mocniejszy niż on* — mówi Michael, bohater goebbelsowskiej książki — *chwytam go za gardło i ciskam o ziemię. Już leży z przekrwionymi oczami. Przeklęty bydlak! Teraz rozdeptuję mu mordę i jestem wolny"*. Widziałem później tych „wolnych" Niemców. Wizja ministra propagandy zamieniła się w rzeczywistość.

IV

Dziś młodzież niemiecka jest żądna poznania świata. Mając ku temu warunki w dużym stopniu zaspokaja swoje tęsknoty. Wędruje więc po świecie szukając odpowiedzi na dręczące pytania swego pokolenia. Spotkałem takiego młodego Niemca w Stambule. Jego ojciec, oficer Wehrmachtu, zginął podczas wojny gdzieś w Karpatach. Może właśnie dlatego pamiętający go ledwie syn wędrował przez całą południowo-wschodnią Europę. Chciał znaleźć sens tej śmierci.

Powiedziałem mu w rozmowie: *„Mój ojciec zginął także, był również wojskowym, ale zginął w mojej obronie, w swoim własnym domu, jego śmierć nie jest wstydem mego życia"*. — Zamyślił się i odpowiedział cicho: *„Mój ojciec zginął niepotrzebnie, musiał tam iść, nie miał innego wyjścia i zginął z piętnem zbrodniarza"*.

Wracał do NRF obładowany kolekcją płyt z muzyką ludową, pełen wrażeń, spostrzeżeń i odkryć. Myśli o nowej wyprawie w przyszłym roku. W swoim rodzinnym Aachen jest mu za ciasno i duszno. Powiedział mi na pożegnanie: *„Po powrocie spotykam chłodną atmosferę ludzi myślących tylko o pieniądzach i interesach. A to nie potrafi zapełnić życia"*.

Istnieje też część młodzieży niemieckiej z kompleksem winy wobec Żydów. Wyjeżdżają oni do Izraela, gdzie bezpłatnie pracują w kibucach. Podobno nawet nie jest wcale łatwo o miejsce. Ale jest oczywiście i druga strona medalu. Są też antysemickie ekscesy, malowanie swastyk i bezczeszczenie grobów.

V

W gmachu Parlamentu Krajowego w Hannowerze jest sala ozdobiona herbami ziem i prowincji niemieckich. Wstęga żałobnej krepy przesłania tu herby Śląska, Prus Wschodnich, Gdańska, Szczecina i Wrocławia. Nieskazitelnie schludny i uprzejmy przewodnik zapewnia zwiedzających parlament turystów, że żaden Niemiec nigdy nie pogodzi się ze stratą tych obszarów.

Czy można się więc dziwić, że niektórzy „turyści" ze znaczkami związków przesiedleńczych interesują się losem „swoich" posiadłości, „swoich" kamienic i fabryk?

Czy można się dziwić, że nikły i bezradny jest głos trzeźwo i realnie myślących Niemców wobec hałaśliwych zjazdów złomkostw, na które przybywają bońscy dygnitarze okryci krzyżackimi płaszczami?

I czy nie można było przewidzieć, że słowa orędzia biskupów polskich przyniosą owoce w rodzaju ostatnio wydanej przez złomkostwo Niemców sudeckich ulotce?

VI

Coraz rzadziej wracamy pamięcią do czasu przeszłego. Jak na starych płótnach, tak i w nas zacierają się kontury minionych dni i blaknie żywa niegdyś, krwawa czerwień przeżytych dramatów, i tragedii. Oglądaliśmy twarze zbrodniarzy wielkich i małych. Nie tak dawno jeszcze rozpoznawaliśmy ich w życiu codziennym. Byliśmy podejrzliwi. Dyszeliśmy nienawiścią, paleliśmy chęcią zemsty. To już minęło. Coraz niechętniej sięgamy pamięcią w mrok. Wypaliła się nasza nienawiść, spopielił ból po stracie najbliższych. Dlatego inna jest nasza reakcja. Jesteśmy spokojniejsi. Bardziej opanowani.

Daleko nam jednak od złudnego samouspokojenia. Wytyczamy rozsądne granice odpowiedzialności. Nie chcemy zbytnich uproszczeń.

Tolerancja jest rzeczą wzniosłą, może jednak być niebezpieczna i mściwa. W życiu bowiem kryją się niespodzianki, których nie chcemy. Dlatego jesteśmy, m u s i m y być ostrożni. Doświadczenia zaszczepiły w nas nieufność do nosicieli haseł „Gott mit uns". Nie towarzyszył im przecież ani Bóg, ani chrześcijańskie miłosierdzie.

RUCH OPORU W 1944 R.

MATERIAŁY Z SESJI POPULARNONAUKOWEJ LUBLIN 24-25.II.1966

AL w przededniu wyzwolenia

Gen. dyw.
GRZEGORZ KORCZYŃSKI
Wiceminister Obrony Narodowej

PARTYZANCKA karta Lubelszczyzny, podobnie zresztą jak i innych regionów kraju, zapisana została setkami akcji i walk w najcięższym okresie naszej historii, kiedy to naród, utraciwszy niepodległość, stanął jednocześnie przed groźbą totalnej, biologicznej zagłady. Obrona społeczeństwa przed barbarzyńskim terrorem okupanta, osłabienie jego potencjału wojskowego i gospodarczego, pomoc Armii Radzieckiej, dźwigającej główny ciężar walki z najeźdźcą hitlerowskim — oto główne cele walki partyzanckiej, wysunięte w mrokach okupacji przez Polską Partię Robotniczą i realizowane przez oddziały partyzanckie Gwardii Ludowej i Armii Ludowej oraz przez szereg oddziałów Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej...

Każdy, kto miał możność zapoznania się z rozkazami Dowództwa Głównego AL, zwrócił zapewne uwagę na fakt, że stale przewija się w nich myśl nawołująca do jedności działania, do tworzenia w ramach Armii Ludowej wspólnych sztabów partyzanckich, do współpracy z oddziałami BCh i AK w walce z okupantem. Dowództwo Główne AL uważało bowiem, że przez wspólną walkę można będzie najpełniej zjednoczyć jednostki partyzanckie i garnizonowe, występujące pod sztandarami różnych organizacji konspiracyjnych... W rozkazie nr 2 Dowództwa Gł. AL myśl tę podano w następujących słowach: „Naczelnym naszym zadaniem i obowiązkiem wobec narodu jest dziś jak najszybsze przejście od wystąpień zbrojnych poszczególnych organizacji do wspólnej planowej walki".

W Sztabie Głównym Armii Ludowej kierowałem pracą Oddziału Operacyjnego, do którego zadań należały zarówno sprawy operacyjne jak i wyszkoleniowe... Po przeprowadzonych studiach, poważnie utrudnionych koniecznością zachowania na co dzień maksymalnej konspiracji, Oddział Operacyjny dokonał oceny położenia i wytyczył najbliższe zadania dla sił partyzanckich Armii Ludowej. Ukoronowaniem tych wysiłków był opracowany pod koniec stycznia 1944 r. projekt dokumentu w postaci „Wytycznych dla akcji lubelskiej na luty i marzec 1944 r.". ... Z ogólnej oceny położenia na froncie wschodnim wynikało dla nas niezbicie, że wskutek działań ofensywnych 1 Frontu Ukraińskiego z kierunku Kijowa a styk hitlerowskich grup armii „Środek" i „Północna Ukraina" wyraźnie zaznaczyła się luka między tymi grupami armii, na zabezpieczenie której dowództwu hitlerowskiemu brak było realnych sił... Ze względu na to, że znajdująca się w strefie hitlerowskich tyłów operacyjnych Lubelszczyzna stanowiła dla dowództwa niemieckiego teren o dużym znaczeniu... właśnie na terenach Lubelszczyzny należało wzmóc akcję zbrojną sił partyzanckich... Te odpowiedzialne zadania realizował w tym okresie dowódca Obwodu II AL, wówczas ppłk Mieczysław Moczar, wydając wraz ze swym sztabem szereg szczegółowych rozkazów i wytycznych.

Rozszerzając prace w zakresie planowania operacyjnego działań sił partyzanckich AL, Oddział Operacyjny Sztabu Głównego AL opracował następny rozkaz operacyjny dla III Obwodu Kielecko-Radomskiego AL. Oceniając, że tereny Kielecczyzny — leżące na lewym brzegu Wisły, przez które biegną szlaki komunikacyjne łączące z Rzeszą hitlerowskie związki operacyjne znajdujące się na Lubelszczyźnie — posiadają dla dowództwa niemieckiego kolosalne znaczenie, w rozkazie tym nakazano siłom partyzanckim Obwodu III skoncentrować główne wysiłki na realizacji dwóch podstawowych zadań: 1) utrzymywać w ciągłym zagrożeniu magistrale kolejowe..., 2) zapewnić przeprawy przez Wisłę w rejonie Annopola, Puław i Ireny...

Wiosną 1944 r. w ruchu partyzanckim na Lubelszczyźnie wytworzyła się specyficzna sytuacja. Oprócz oddziałów partyzanckich AL znajdowały się tu również oddziały podległe bezpośrednio Polskiemu Sztabowi Partyzanckiemu, oddziały radzieckie, oddziały Batalionów Chłopskich i oddziały Armii Krajowej. Stan ten utrudniał walkę z okupantem i powodował rozproszenie wysiłków, pomijając już złożoność sytuacji i stosunków politycznych. Dyktowane potrzebami walki usilne starania Dowództwa Głównego AL o jednolite kierowanie wysiłkiem zbrojnym na Lubelszczyźnie stopniowo dawały rezultaty w postaci coraz powszechniejszego uznawania dowództw AL za czynnik dominujący, za wiodącą organizację w walce z okupantem na tym terenie. Szczególnie pomyślnie układała się ta współpraca z jednostkami radzieckimi i oddziałami BCh...

W związku z rozwojem ogólnej sytuacji na froncie oraz narzucającą się koniecznością ujęcia całego obszaru Lubelszczyzny w całość operacyjną zgodnie z zasadą, że na tym obszarze jest jeden dowódca, jeden gospodarz akcji bojowej, Oddział Operacyjny Sztabu Głównego AL opracował w końcu maja nowe „Wytyczne do działań bojowych II Obwodu na lato 1944 r.".

... Dowództwo Główne AL oceniało, że natarcie Armii Radzieckiej może rozwinąć się albo w ogólnym kierunku na Bałkany, albo przez Białoruś ku Bałtykowi. W obu wypadkach Lubelszczyzna nabierała dużego znaczenia strategicznego ze względu na jej skrzydłowe usytuowanie w stosunku do przewidywanych kierunków natarcia wojsk radzieckich... Główne zadania Obwodu II AL nie zostały zmienione, jednakże postawiono szereg nowych. W planie majowym po raz pierwszy sprecyzowano dalsze cele lubelskich sił partyzanckich AL. Podczas wyzwalania Lubelszczyzny miały one przesuwać się na zachód; kierunki odejścia były uzależnione od rozwoju sytuacji na froncie. Oceniając siły i możliwości okupanta stwierdzono również, że Niemcy „mogą dziś oczyścić zaplecze, robić pacyfikacje, obławy, ale jeżeli do tej chwili nie przeprowadzili tego skutecznie, to ich możliwości stale i coraz gwałtowniej zmniejszają się".

Z oceny tej wypływały pewne nowe zadania dla AL: zwiększenie manewrowania i okresowego rozczłonkowania sił oraz rozwinięcie działań nękających na całym obszarze Lubelszczyzny przez szersze włączenie do walki garnizonów i grup wypadowych.

Pod koniec czerwca 1944 r. Dowództwo Główne AL postanawia wzmocnić dowództwo Obwodu II grupą oficerów Sztabu Głównego AL. 28 czerwca otrzymałem rozkaz objęcia dowództwa II Obwodu AL. 2 lipca wyjechałem z Warszawy do lasów parczewskich wraz ze swym ścisłym sztabem... Nie minęły 2 tygodnie gdy rozpoznanie doniosło, że Niemcy rozpoczęli akcję mającą na celu likwidację oddziałów partyzanckich, zgrupowanych w okolicach lasów parczewskich. Silne oddziały Wehrmachtu, SS, policji, żandarmerii i korpusu kawalerii kałmuckiej okrążyły lasy w promieniu 30—40 km. Znaleźliśmy się w kotle. Dzisiaj wiemy z zachowanych dokumentów niemieckich, że okupant skrupulatnie przygotowywał się do tej wielkiej akcji o kryptonimie „Wirbelsturm" (Cyklon), skierowanej przeciwko „wielkim bandom komunistycznym"...

Na naradzie zapadło postanowienie że w nocy z 19 na 20 lipca będziemy się przedzierać przez pierścień wojsk hitlerowskich... O świcie 21 lipca nieprzyjaciel ponowił ataki. Jednak dynamika walki nieco osłabła. Wróg nie atakował już z taką zaciętością jak poprzednio. Był to widomy znak, że zbliżają się oddziały Armii Radzieckiej...

22 lipca w porozumieniu z miejscową Radą Narodową oraz organizacją PPR i AL przejęliśmy władzę w Lubartowie. Kompania AL pod dowództwem kpt. Piątka pozostała w Lubartowie, organizując Milicję Obywatelską, a pozostałe oddziały naszej Brygady dotarły na podwodach do Lublina i wkroczyły do miasta.

Dni przemian

PAWEŁ DĄBEK
Przewodniczący Zarządu Okręgu ZBoWiD

Dzisiejsza sesja cieszy się niezmiernym zainteresowaniem. Mogliśmy zaprosić tylko część zgłoszonych uczestników ruchu oporu i pracowników nauki po prostu dlatego, że sala więcej nie mieści. Sądzę, że warto organizować więcej spotkań regionalnych, aby w szerszym niż dotąd zakresie, w bezpośrednim kontakcie zbierać wiadomości o wkładzie poszczególnych ludzi, partyzantów i dowódców, organizatorów ruchu oporu. Społeczeństwo chce mieć nie tylko dokładną dokumentację, ale żąda od nas, uczestników ruchu oporu, uczestników walki na wszystkich frontach, a także od pracowników nauki, abyśmy dali jak najlepszą, jak najbardziej sprawiedliwą ocenę tych wielkich wydarzeń w życiu naszego narodu.

Mamy duże zaległości w ustalaniu faktów, gromadzeniu dokumentów, chociaż w tej dziedzinie zrobiliśmy na Lubelszczyźnie dużo. Wydaliśmy tom dokumentów dotyczących GL, AL i PPR, wydaliśmy tom dokumentów o BCh, wydaliśmy szereg relacji. W przygotowaniu jest tom dokumentów o działalności AK. Nasz lubelski ośrodek naukowy, nasze organizacje i instytucje zajmują się tymi sprawami na co dzień, a przede wszystkim Referat Historii Partii w KW PZPR, Zarząd Okręgu ZBoWiD, Lubelskie Towarzystwo Historyczne i Muzeum Lubelskie. Czynne jest również środowisko lubelskich wyższych uczelni, które wydało już wiele prac z tego zakresu.

Zadaniem naszej sesji jest zajęcie się dniami i miesiącami tuż przed wyzwoleniem. Mamy nadzieję, że uczestnicy sesji pokażą te burzliwe przemiany, które następowały w tym okresie w różnych organizacjach polskiego podziemia. Te przemiany na Lubelszczyźnie były szczególnie widoczne. Historyczne znaczenie posiada fakt, że właśnie tu rosła stale świadomość, iż PPR będzie wytyczała nie tylko drogi walki, ale i budownictwa w przyszłej Polsce.

Z lewej dowódca Obwodu AL mjr „Mietek" (Mieczysław Moczar — dziś gen. dyw.) i por. „Kolka" (Mikołaj Meluch, w lasach parczewskich,

Siły niemieckie na Lubelszczyźnie

Ppłk WALDEMAR TUSZYŃSKI

W NASZYCH badaniach nad działaniami partyzanckimi nie sposób osiągnąć trwalszych ocen bez szerszej znajomości sił, przedsięwzięć i zamiarów okupanta w okresie kwiecień — maj 1944 r.

Wiosną 1944 większość ziem Lubelszczyzny znajdowała się w obszarze tylowym grupy armii „Północna Ukraina", więc jako strefa tylowa powinna była znajdować się pod zarządem dowództwa operacyjnego. Jednakże dyrektywą Hitlera z lutego 1944 r. utrzymano dotychczasowe uprawnienia władz cywilnych. Fakt ten był o tyle istotny, że odpowiedzialność za bezpieczeństwo pozostawała bez zmian. Zadanie to spoczywało w pierwszym rzędzie na siłach policyjnych podległych administracji miejscowej oraz miejscowych jednostkach wojskowych. Całość sił niemieckiej policji w dystrykcie lubelskim, podobnie jak w całej GG, dzieliła się na dwa zasadnicze piony: policję porządkową Ordnungspolizei i policję bezpieczeństwa Sipo.

Policja porządkowa składała się z policji ochronnej Schutzpolizei i żandarmerii, której podlegały policja granatowa i policja ukraińska. W kwietniu na terenie dystryktu lubelskiego było 50 posterunków żandarmerii oraz 16 różnego szczebla dowództw żandarmerii. Sieć policji granatowej obejmowała 95 posterunków, policji ukraińskiej około 25. Należy dodać, że w niektórych miejscowościach, głównie powiatowych, znajdowały się zarówno posterunki żandarmerii jak i policji. Ogółem sieć żandarmerii, policji granatowej i ukraińskiej rozmieszczona była w 150 miejscowościach, a stan liczebny wynosił 1500 do 1700 ludzi. W okresie kwiecień — czerwiec w wyniku zagrożenia ze strony partyzantów i ludności następuje łączenie posterunków.

Do większych zadań ochronnych, w tym głównie zwalczania partyzantów i lokalnych pacyfikacji, przeznaczone były zwarte jednostki policji porządkowej, składające się z pododdziałów SS, policji i żandarmerii. W żadnym z pozostałych dystryktów nie było w tym czasie tylu zwartych jednostek policyjnych. Ogółem siły policji porządkowej Orpo liczyły około 4000 ludzi. Ponadto dowódcy SS i policji podlegał do czerwca 5 pułk SS-Galizien, który rozmieszczony był nad Bugiem.

Jeżeli chodzi o pion policji bezpieczeństwa z tajną policją państwową gestapo, służbą bezpieczeństwa SD i policją kryminalną — był to aparat nieliczny i do najważniejszych jego zadań należało rozpracowywanie ruchu oporu i likwidowanie jego komórek organizacyjnych. Ponadto SD wespół z gestapo kierowało siecią konfidentów. Dla partyzantki, w przeciwieństwie do konspiracji, Sipo było — moim zdaniem — mniej groźne aniżeli Orpo, która przygotowywała i bezpośrednio przeprowadzała akcje przeciwko partyzantom.

W strukturze terytorialno-organizacyjnej okręgu wojskowego Generalnej Guberni dystrykt lubelski stanowił jedną z pięciu nadkomendantur polowych — w skrócie OSK 372. Podlegały jej jednostki wojskowe, składy, magazyny itp. z wyjątkiem frontowych jednostek tylowych. Głównym zadaniem OSK 372 była ochrona obiektów wojskowych i szlaków komunikacyjnych oraz pełnienie funkcji o charakterze garnizonowym. Do tego celu dowódca OSK dysponował 12 batalionami, które miały pod swoją ochroną określone obiekty. Używano ich jednak również do planowanych akcji przeciw partyzantom. Na terenie OSK 372 rozmieszczona była także większość sił 174 Dywizji Rezerwowej, której pododdziały spełniały również funkcje ochronne, wystawiając między innymi tzw. Wehrmachtstitzpunkty.

W okresie zima — wiosna 1944 nastąpiło gwałtowne nasycenie dystryktu jednostkami frontowymi. Część ich stale przegrupowywano, dlatego też uchwycenie stanu ilościowego tych sił jest bardzo trudne. Z wielkich jednostek przebywały dłużej w Lubelskiem część 20 Dywizji Pancernej oraz większość sił 5 Dywizji Pancernej SS-Wiking, zgrupowanej w samym Lublinie i koło Lublina. Już sama ich obecność stanowiła poważne oparcie dla lubelskich sił policyjnych i wojskowych w ich walce z partyzantką. Do zwalczania jednostek partyzanckich do maja używano rzadko jednostek sił frontowych i tylko w rejonie ich miejsca postoju.

Należy jeszcze dodać, że na terenie Zamojszczyzny okupant posiadał znaczną enklawę powstałą w 1943 roku w rezultacie osiedlenia około 20.000 Niemców. Prawdopodobnie w czerwcu 1944 r. utworzono z osiedleńców pułk Selbschutzu w składzie 12 kampanii, które wspólnie z policją spełniały zadania ochronne.

Takie były podstawowe siły okupanta w dystrykcie Lublin, których używano do walk z partyzantką. Oczywiście nie wyczerpuje to długiej listy wielu tylowych pododdziałów: jednostek obrony przeciwlotniczej, obsługi lotnisk itp.

Jednocześnie w tym okresie zwrócono szczególną uwagę na linię Bugu. Z inicjatywy Himmlera przystąpiono już od końca stycznia 1944 r. do budowy wzdłuż Bugu tzw. linii wyłapywania band. Było to przedsięwzięcie na poważną skalę. Do końca kwietnia zorganizowano na odcinku od Sokala do Brześcia 31 Stützpunktów, dalszych 49 znajdowało się w budowie, 211 stanowisk bojowych, wybudowano 241 schronów bojowych oraz na długości 42 kilometrów ustawiono zapory z drutu kolczastego. Okupantowi chodziło tu przede wszystkim o przeszkodzenie w połączeniu sił partyzanckich działających na Wołyniu z lubelskimi oddziałami partyzanckimi.

Jednakże wbrew przypuszczeniom okupanta działalność partyzancka na Lubelszczyźnie od końca marca zaczęła się nasilać... W wyniku tych uderzeń okupant stracił panowanie nad wieloma rejonami Lubelszczyzny. Dał temu wyraźnie świadectwo generalny gubernator, który w dniu 16 maja zmuszony był przyznać, że „dystrykt lubelski faktycznie w jednej trzeciej części przestał znajdować się w rękach niemieckiej administracji".

Zgodnie z zapowiedzią w poprzednim numerze drukujemy materiały, związane z sesją popularnonaukową o walkach partyzanckich na Lubelszczyźnie w czerwcu i w lipcu 1944 r. Organizatorami tej sesji byli Zarząd Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Lublinie, Lubelskie Towarzystwo Historyczne oraz Muzeum Lubelskie.

Niezwykle obfity dorobek sesji zostanie prawdopodobnie opublikowany w osobnym wydawnictwie. Tutaj możemy przedstawić tylko jego skromną część. Z wygłoszonych referatów wybraliśmy jedynie wyjątki. Z konieczności musieliśmy ograniczyć się do przedstawienia w zarysie jedynie kilku problemów, wybranych z obszernych referatów, przedstawiających w szerokim aspekcie wojskowym, politycznym i społecznym okres, który zadecydował zarówno o wyzwoleniu naszego kraju jak i jego przyszłym rozwoju.

Działania zbrojne AK na Lubelszczyźnie

IRENEUSZ CABAN — ZYGMUNT MAŃKOWSKI

ZASADNICZĄ siłą dyspozycyjną lubelskiego okręgu AK zarówno w walce bieżącej jak i w przygotowywanym powstaniu były oddziały partyzanckie. Do ich organizacji faktycznie przystąpiono na Lubelszczyźnie na przełomie lat 1942/43. Proces ich powstawania i utwierdzania zakończył się jednak dopiero wiosną 1944 r. Wówczas to na terenie wszystkich obwodów (15) operowały już oddziały partyzanckie AK. ...Jak wynika ze wstępnych badań to w czerwcu 1944 roku wszystkie te oddziały zwiększyły swoje stany, zostały przeorganizowane oraz otrzymały dodatkowe ilości broni i materiałów wybuchowych. Łącznie na początku czerwca na terenie okręgu znajdowało się więc ponad 30 oddziałów, nie wliczając oddziałów samoobrony z obwodów hrubieszowskiego i tomaszowskiego.

Ich stan liczbowy osiągnął ogółem około 3 tysiące ludzi. W maju do sił tych dołączyły oddziały 27 dywizji AK, które aczkolwiek przybyły na Lubelszczyznę po ciężkich walkach i dużych stratach osobowych, od czerwca poczęły zwiększać ponownie swoje stany z elementu lubelskiego. W końcu czerwca dywizja ta liczyła ponad 3 tysiące ludzi.

Oddziały partyzanckie lubelskiego okręgu AK stanowiły poważną siłę bojową. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że większość tych oddziałów posiadała już dość długie doświadczenia konspiracyjne, dowodzona była przez doświadczoną kadrę, była na ogół bardzo dobrze uzbrojona (m. in. w broń zrzutową), a rejony ich operacji były już wtedy oczyszczone względnie tylko okresowo kontrolowane przez okupanta.

...Należy wziąć jednak pod uwagę fakt, że siły te nie były w pełni dyspozycyjne. Organizacja AK nie była bowiem całkowicie spoista. Jej masa członkowska podlegała wszystkim procesom polityczno-społecznym, a więc i radykalizacji, jakie zachodziły szczególnie w końcowym okresie okupacji w narodzie polskim. Na Lubelszczyźnie procesy te zostały pogłębione dodatkowo przez takie zjawiska jak: stosunkowo duże nasilenie spięć klasowych (duży procent biedoty wiejskiej, tradycje walk politycznych i rewolucyjnych itp.), ugruntowane wpływy, liczebność i autorytet PPR oraz SL-ROCH i ich oddziaływanie programowe, oddziaływanie operujących już od 1941 roku oddziałów partyzantki radzieckiej, walczących w ostatniej fazie dużymi, doskonale uzbrojonymi zgrupowaniami w oparciu o założenia wojskowo - operacyjne, a także rozbieżności na tle akcji scaleniowej oraz związanym z nią problemem dysponowania przez placówki i rejony dotychczas posiadaną bronią w walce bieżącej.

... Ogólnie rzecz biorąc to aspekty polityczne planu „Burza" w odniesieniu do terenu Lubelszczyzny pokrywają się zasadniczo z założeniami ogólnymi. I tutaj głównym celem politycznym planu „B" było stworzenie warunków dla „wysadzenia" przygotowanej wcześniej administracji Delegatury oraz objęcie władzy w imieniu rządu londyńskiego. I w tym kontekście realizacja wojskowych aspektów tego planu splatała się z celami politycznymi zarówno wobec obozu polskiej lewicy społecznej jak i wkraczającej Armii Radzieckiej.

... Plan „Burza" był kolejnym wariantem planowanego od początku konspiracji powstania powszechnego, mającym być zrealizowanym w odmiennych warunkach niż omawiany powyżej plan „A".

... Jak w tym świetle wygląda plan „Burza" w odniesieniu do Okręgu Lubelskiego? Wytyczne i rozkazy Komendy Głównej AK w sprawie tego planu dawały jedynie dyrektywy ogólne ze szczególnym uwypukleniem aspektów politycznych, natomiast opracowanie planu operacyjnego spoczywało na KO. Na Lubelszczyźnie plan ten został wzięty na warsztat na początku roku 1944 ... Już w lutym skierowano go do dowódcy OP 9, a więc chyba i do innych zgrupowań i terenów. W maju tego roku dowódcom oddziałów partyzanckich wręczono w zalakowanych kopertach zadania szczegółowe dla ich oddziałów. ... Prawdopodobnie wówczas (połowa lipca 1944) na polecenie KG zmodyfikowano myśl przewodnią tego planu w zakresie użycia w walce większych sił własnych.

... W wytycznych ogólnych planu „B" dla Inspektoratu Zamojskiego stwierdza się m. in.: „...W momencie tym, zgodnie z rozkazem kom. SZ, oddziały AK wystąpią do wzmożonej, czynnej walki z Niemcami, współdziałając wojskowo z Armią Sowiecką... Celem działania jest niszczenie armii niemieckiej, ułatwienie marszu jednostkom sowieckim, a następnie po ukończeniu walk koncentracja i odtworzenie jednostek WP...". Sformułowania tego rozkazu odbiegają w pewnym sensie od wytycznych KG i wymagają jeszcze głębszej analizy w toku dalszych badań.

... Kilka słów poświęćmy walce bieżącej prowadzonej w okresie czerwca i lipca do momentu wejścia do akcji „B". ... Meldunek nr 9 kom. Okręgu z dnia 13 lipca 1944 r. zawiera dane o 27 „główniejszych" akcjach bojowych dokonanych przez oddziały okręgu. Większość z tych akcji to uderzenia na transport i drogi komunikacyjne. W lipcu, przede wszystkim w związku z przygotowywaniem się do realizacji „Burzy", nastąpiło wyraźne osłabienie walki bieżącej. Autorom udało się uchwycić tylko 7 akcji tego typu, wykonanych do 20 lipca.

... W lipcu AK na Lubelszczyźnie, przygotowując się już bezpośrednio do wykonania planu „B", główny nacisk położyła na zwiększenie stanów liczbowych istniejących oddziałów. Jak wynika ze wstępnej analizy źródeł to stan ich wzrósł w porównaniu do początku czerwca prawie dwukrotnie i według obliczeń szacunkowych wynosił wraz z 27 dywizją około 10 tysięcy ludzi. Znacznie trudniej jest obliczyć choćby szacunkowo użyte w akcji „Burza" zmobilizowane dopiero w lipcu oddziały terytorialne.

... Referat nasz opisuje szczegółowo ponad 100 akcji bojowych wykonanych w okresie „Burzy", a znajdujących odbicie w dokumentach. W toku tych akcji — jak wykazują dokumenty AK — okupantowi zadano następujące straty: zabitych — 1050, wziętych do niewoli — 1232, zdobyto lub uszkodzono czołgów — 7, samochodów i aut pancernych — 31, dział i moździerzy — 24, zdobyto broni różnej — 507, wozów taborowych — 132.

... Dokonując analizy wkładu AK do walki z okupantem w końcowym okresie okupacji należy podkreślić, że na jej ogólnym dorobku zaciążyły wyraźnie i takie zjawiska, jak cele polityczne „Burzy", a także problem dyspozycyjności i założenia taktyczne całej organizacji...

PRZYPIS: Niniejsze fragmenty wyciągnięte zostały z liczącego około 80 stron referatu, z którego tylko około 22 strony zostały odczytane na sesji. Tekst referatu został prawdopodobnie i na skutek konieczności dokonania tak zasadniczych skrótów przyjęty kontrowersyjnie. Należy przy tym zaznaczyć, że referat ten był wynikiem wstępnych, prowadzonych zaledwie od kilku miesięcy badań naukowych nad dziejami AK na Lubelszczyźnie.

Dowódcy oddziałów lotnych AK Obwodu Lublin.

Na dwóch frontach

JAN NOWAK

W STRUKTURZE konspiracyjnego ruchu ludowego Lubelszczyzna stanowiła Okręg IV, który dzielił się na 3 podokręgi oraz 15 obwodów, obwody dzieliły się na rejony, gminy i gromady. Na czele poszczególnych komórek stały kierownictwa polityczne w postaci trójek czy piątek ROCH-a, komendy BCh i LSB, kierownictwa poszczególnych komisji fachowych i Ludowego Związku Kobiet.

We wszystkich obwodach organizowano tajne nauczanie, na samym tylko Podlasiu było 20 ruchomych biblioteczek, posiadających 10 tys tomów. Wielu żołnierzy BCh przerabiało materiał z zakresu szkoły średniej. Wyróżnić można ośrodki tajnego nauczania w Nałęczowie, Opolu i Żyrzynie. We wsi Wisznice została zorganizowana Spółdzielnia Wyd. „Płomienie", która przygotowywała skrypty dla tajnej Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie oraz wydała kilka broszur dla celów samokształceniowych. Ważną rolę odgrywała konspiracyjna prasa. Na Podlasiu ukazywała się Regionalna Agencja Prasowa Podlasie „RAPP" i pismo „Idzie wolność", w powiecie kraśnickim pismo „Snop", w krasnostawskim „Chłopski znak", „Wyzwolenie" i „Hejnał" oraz dla dzieci „Kukułka", w puławskim „Orle ciosy", na Zamojszczyźnie „Z ziemi wysiedlonych".

Na wiosnę 1944 r. dowództwo Okręgu powołało Instytut Oświaty i Kultury Wsi — inspiratorem jego powstania był pisarz ludowy Józef Nikodem Kłosowski. Zadaniem Instytutu było zespalanie pisarzy ludowych, wyszukiwanie samorodnych talentów, opieka nad ich twórczością, udzielanie pomocy pisarzom ludowym.

Siłą zbrojną ruchu ludowego były Bataliony Chłopskie. W końcowym okresie okupacji na podstawie umowy ogniw centralnych BCh i AK z dnia 30 maja 1943 r. miało nastąpić scalenie oddziałów taktycznych BCh z AK, natomiast oddziały terytorialne miały stanowić jednostki Ludowej Straży Bezpieczeństwa (LSB) i pozostawać w dyspozycji władz ruchu ludowego. Oddziały partyzanckie i specjalne BCh nie podlegały scaleniu i pozostawały w dyspozycji LSB. W powiatach chełmskim i krasnostawskim komendanci obwodowi BCh zostali mianowani komendantami scalonych oddziałów Ale w wielu innych obwodach występowały poważne trudności natury politycznej i formalnej Bardzo wiele dokumentów wskazuje na to, że dowództwo Okręgu AK, opanowane przez elementy sanacyjne wrogie ruchowi ludowemu, nie dotrzymywało warunków umowy, niejednokrotnie uprawiało propagandę wrogą ruchowi ludowemu.

Na postawę konspiracyjnych komórek ruchu ludowego wywierały poważny wpływ wypadki polityczne w kraju i sytuacja międzynarodowa. Głównym czynnikiem była działalność Polskiej Partii Robotniczej, dążącej do utworzenia demokratycznego frontu narodowego walki z okupantem, współdziałania na platformie sojuszu robotniczo-chłopskiego i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Idee te znalazły żywy oddźwięk w komórkach ruchu ludowego Okręgu Lubelskiego.

„Chłopski znak" w nr. 72 w artykule pt. „Przyczyna i skutki" pisał: ... „doły są zradykalizowane, masy żądają rozstrzygnięć mocnych i zdecydowanych. Niektórzy nie rozumieją, lub też nie chcą zrozumieć, że idą czasy nowe, czasy wielkich przemian społecznych, czasy, które już dzisiaj wymagają rewizji wielu starych i utartych kanonów politycznych, społeczno-prawnych i gospodarczych".

„Idzie wolność" w nr 10 z 10 czerwca 1944 r.: „Do powszechnej walki orężnej z Niemcami wystąpimy i w walce tej współdziałać będziemy z Czerwoną Armią Sowiecką". Tytuł artykułu był znamienny: „Szukajmy nowych dróg".

„Orle ciosy" w nr 34/73 z dnia 5 lipca 1944 r.: „Od 5 lat trwa nieubłagana walka na śmierć i życie z barbarzyństwem niemieckim. W walkę tę włożyliśmy wszystkie siły, włożyliśmy całą duszę, prowadzić ją będziemy dotąd, aż zdobędziemy całkowitą wolność... Równocześnie znajdujemy w sobie dość siły na prowadzenie innej walki. Walki w łonie samego społeczeństwa, która ma charakter czysto ideowy. Twierdzimy, że lud polski musi wiedzieć, o jaką Polskę walczy, za jaką Polskę ginie i dla jakiej Polski żyje. Dzieło budowania Polski Ludowej, wolnej od krzywdy i wyzysku, nie może być odkładane na czas po zwycięstwie nad Niemcami, a już w czasie wojny musi być zdecydowanie rozpoczęte... Jesteśmy w walce nie tylko z wrogiem zewnętrznym, ale i wewnętrznym, reprezentującym wyzysk i krzywdę, niesprawiedliwość i niewolę gospodarczą mas ludowych".

Partyzantka w natarciu

LESZEK SIEMION

TRZECIA dekada lipca (1944 r. — red.) od pierwszego dnia stoi pod znakiem niemieckiego odwrotu na linię Wisły, wskutek postępów Armii Czerwonej, która w kierunku Lublina sforsowała z marszu rzekę Bug, w rejonie Chełma, na południu zaś opanowała Rawę Ruską.

Widoczny na wszystkich drogach odwrót nieprzyjaciela wywołuje szeroką reakcję sił polskiego podziemia. Dowództwa AK wydają rozkazy do wykonania planu „Burza", zaś formacje BCh samoczynnie rozpoczynają natarcie na wycofujące się kolumny wroga. Oddziały AL przegrupowują się do rejonów położonych na boku szlaków drogowych, zapewniając sobie możliwość manewru na boki niemieckich kolumn. Rozpoczyna się seria ataków partyzanckich, których natężenie z każdym dniem się potęguje, chociaż obszar pozostający w rękach okupanta każdego dnia gwałtownie maleje. W tym trybie dochodzi na Lubelszczyźnie do powszechnego ludowego powstania.

W dniach 21—30 lipca odnotowałem 105 akcji zbrojnych, z których 92 zostały ustalone co do autorstwa. Są to w ogromnej większości walki z wycofującymi się siłami niemieckimi, lub ataki na niemieckie garnizony.

Byłoby jednak... grubym błędem sądzić, że przytoczona liczba 105 akcji bojowych ujmuje całość tych wydarzeń w ostatniej dekadzie lipca. Nie obawiam się stwierdzić, że jest to co najwyżej 50 proc. faktycznej ilości...

Interesująco przedstawia się wkład poszczególnych ugrupowań w dzieło Powstania Lubelskiego. Najwięcej, bo 38 akcji przeprowadziły w tym okresie Bataliony Chłopskie, zaś 10 dalszych akcji jest wynikiem wspólnych działań BCh, AK i AL. 27 akcji przeprowadziły formacje AK a 8 dalszych AK przeprowadziła wspólnie z innymi ugrupowaniami. Wreszcie AL i oddziały podległe Polskiemu Sztabowi Partyzanckiemu zapisały na swym koncie 19 akcji.

Okupant do ostatka usiłuje przeciwdziałać. Do 21 lipca trwają walki w lasach parczewskich. Tego również dnia ekspedycja pacyfikacyjna otacza pod Horostytą oddział im. ks. Brzóski, który w zaciętej walce odpiera nieprzyjaciela, zadając mu znaczne straty. Postępy wojsk radzieckich uniemożliwiają Niemcom powtórzenie operacji.

...Ostatnie... przeciwdziałanie niemieckie dochodzi do skutku 27 lipca w rejonie lasów gościeradowskich, gdzie w okrążenie dostaje się część I Brygady AL, część sztabu II Obwodu, sztab V Okręgu i kierownictwo Obwodu i Okręgu PPR. Wśród strat poniesionych przez partyzantów, znalazł się niestety płk „Ali" — Aleksander Szymański — sekretarz Obwodu PPR, i „Pola" — Wacława Marek — sekretarz Okręgu V.

Od 25 lipca wojska radzieckie zaczynają wychodzić na linię Wisły, tegoż dnia opanowując Puławy. 29 zajmują one Annopol, a 30 lipca oczyszczony zostaje z nieprzyjaciela rejon Lipy — ostatni skrawek lubelskiej ziemi.

W toku wyzwalania Lubelszczyzny dochodzi do skutecznej współpracy bojowej frontowych wojsk Armii Czerwonej i oddziałów partyzanckich. Najszerszym tego przykładem są trzydniowe walki o Lublin 23—25 lipca. Natarcie czołgów radzieckich jest tu wspierane akcją lokalnych sił AK i AL, które zadają nieprzyjacielowi stratę ponad 420 ludzi.

...Oddziały partyzanckie skutecznie blokują drogi odwrotu nieprzyjaciela. Najlepszym przykładem takiego działania są akcje IV Brygady zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła", w rejonie na północ od Janowa. W nocy z 25 na 26 lipca oddziały brygady atakują trzy niemieckie kolumny, a w ciągu dnia powtarzają to działanie jeszcze pięciokrotnie.

...Ogólna ilość strat poniesionych przez nieprzyjaciela z rąk partyzantów jest trudna do ustalenia. Zachowały się fragmentaryczne dane, pozwalające szacować straty poniesione na terenie pow. lubelskiego na 800 zabitych i jeńców, 3 czołgi i wiele innej broni i sprzętu. Podobnie można szacować straty nieprzyjaciela... w pow. zamojskim i lubartowskim. Wiemy o 2 czołgach zniszczonych przez partyzantów w pow. tomaszowskim, a raport komendanta krasnostawskiego Obwodu mówi o 180 zabitych i 5 zniszczonych czołgach. Znamy szereg innych danych wycinkowych, na podstawie których można ocenić, że wskutek działań partyzanckich w okresie Powstania Lubelskiego nieprzyjaciel stracił około 8000 ludzi, kilkanaście wozów pancernych, około 200 pojazdów mechanicznych oraz wiele innego sprzętu i uzbrojenia.

Zachodzi pytanie: czy są to cyfry wysokie, czy niskie? Pamiętając stan niemieckich jednostek wycofujących się za Wisłę, można śmiało stwierdzić, że są to cyfry duże, gdyż ten ubytek ogromnie osłabił niemiecką obronę na linii Wisły. Z zachowanego raportu wywiadu AK Okręgu Radom wiemy, że wskutek poniesionych strat nieprzyjaciel organizował obronę na Wiśle powierzając batalionom kilku- a nawet kilkunastokilometrowe odcinki, a wycofane dywizje pancerne liczyły... do kilkudziesięciu czołgów. W tych warunkach cenna była dla nieprzyjaciela każda kompania i każdy wóz pancerny. Ich brak z pewnością ułatwił wojskom radzieckim uchwycenie przedmości na Wiśle.

W dniach niemieckiego odwrotu za Wisłę działania zbrojne podjęły w zasadzie wszystkie siły jakimi dysponowało lubelskie podziemie. Do akcji wyruszyły i stale oddziały partyzanckie i formacje garnizonowe. Łącznie wystąpiło do walki ok. 25.000 ludzi, a więc wszystko, co było uzbrojone.

Tu zachodzi pytanie następne: czy wobec gremialnego wystąpienia sił partyzanckich wyniki działań nie mogły być wyższe?

Na pewno tak, ale w innych warunkach politycznych. Zwiększenie skuteczności działania było możliwe, ale tylko przy ścisłym współdziałaniu wszystkich podziemnych formacji z natarciem wojsk radzieckich, współdziałaniu zaplanowanym i kierowanym. Aby zaś do tego typu współdziałania doszło, trzeba było innej polityki londyńskiego rządu i podległych mu w kraju formacji.

Dziś można tylko ubolewać, że taka sytuacja nie zaistniała. Z pewnością większe byłyby efekty naszego czynu zbrojnego, a także — można było uchronić się od takiej tragedii, jaką było Powstanie Warszawskie.

Mój Lublin – 45 lat temu...

WITOLD ZECHENTER

TO BYŁO w marcu 1921 roku, a więc czterdzieści pięć lat temu — nie do zwierzenia, już tyle lat, a wspomnienie tak żywe, jakby to było niedawno: wspomnienie o tej dziwnej fali gorąca, jaka mnie wtedy objęła, o czymś, co zdławiło w gardle, o tak, na chwilę, na jedną małą chwileczkę, ale zdławiło — coś tak dziwnego, coś niepowtarzalnego. To było pierwszy raz i jeden jedyny raz w życiu, więcej się już nigdy, nigdy nie powtórzyło. I pamięta się to, pamięta po czterdziestu pięciu latach, wyraźnie, dokładnie, z wszystkimi okolicznościami.

Gdy tego samego dnia powiedziałem o tym staremu przyjacielowi mego dzieciństwa i młodości, Karolowi Irzykowskiemu, uśmiechnął się, jak to on, na pół ironicznie, na pół smutno:

— O, trzeba tę datę zapamiętać — od tego dnia przecież liczy się jubileusz...

Wtedy wydał mi się ten żart nawet jakby trochę niestosowny — byłem w tak specjalnym nastroju, a tu o jubileuszu... mnie, uczniowi jeszcze piątej klasy gimnazjalnej (to tak, jakby dziś dziewiąta w szkole ogólnokształcącej). Jubileusz — coś, co łączy się z podeszłym wiekiem...

A więc marzec 1921: pierwszy wydrukowany wiersz... To było to gigantyczne wydarzenie, to był powód tego gorąca, tego zdławienia, tej dumy, tego niezapomnianego uczucia.

A ukazał się ten pierwszy wiersz w „Ziemi Lubelskiej", ściśle: w dodatku niedzielnym do tego pisma. Ponieważ i ojciec mój i ukochana ciocia, u której się wychowywałem, byli dziennikarzami i pracowali w redakcji — wtedy „Głosu Narodu" w Krakowie, najulubieńszym miejscem dla mnie, po odrobieniu lekcji, a czasem i przed ich odrobieniem, była właśnie redakcja i drukarnia. Znali mnie tam wszyscy, chodziłem swobodnie i łykałem zaczarowany zapach farby drukarskiej, patrzyłem na pracę redaktorów i zecerów, asystowałem przy łamaniu numeru — potem to wszystko było jak znalazł, potem wszyscy dziwili się, skąd ja to znam, gdzie ja zdążyłem się tego nauczyć, a to była moja zabawa i rozrywka od dziecka jeszcze. Otóż w redakcji przeglądałem też różne pisma, przychodzące z całej Polski, nie wiem już, jak i dlaczego, ale przeglądałem specjalnie „Ziemię Lubelską" i ten dodatek literacki, jakby coś mnie ciągnęło do tej niewielkiej rozmiarami gazetki, pełnej błędów drukarskich, składanej ręcznie i odbijanej na płaskiej maszynie, co dobrze oceniało moje oko „znawcy" wszystkiego, co łączyło się z dziennikarstwem i drukarstwem.

I pewnego dnia postanowiłem posłać kilka swoich wierszy do „Ziemi Lubelskiej", nie przyznając się, oczywiście, że chodzę jeszcze w mundurku gimnazjalnym i że do matury mam trzy lata, a więc zasadniczo nie wolno mi jeszcze drukować. Posłałem — i zaczęło się wyczekiwanie, zaczęło się branie gazety i ostrożne otwieranie szeleszczącej kartki. I to nie tylko numeru niedzielnego, tego z dodatkiem, ale każdego, co dzień, gdyż „Ziemia Lubelska" — jak prawie wszystkie wtedy gazety codzienne — zamieszczała wiersze nie tylko w niedzielę, w dodatku literackim, ale też w numerach normalnych, wśród wiadomości i zwykłych dziennikarskich materiałów.

I wnet — znalazłem. Właśnie w dodatku. Pierwszy wiersz drukowany. Potem posypały się dalsze. W latach 1921, 1922, 1923, czasem więcej, czasem mniej i niezależnie od tego, że „Ziemia Lubelska" przechodziła jakieś kataklizmy, zmiany redakcji, zmiany charakteru pisma zmiany światopoglądowe, chyba też i zmiany tytułu, była w jej miejsce i „Placówka Lubelska", a potem „Nowa Ziemia Lubelska". W latach najbliższych od tej pamiętnej dla mnie daty zacząłem zamieszczać wiersze i w innych pismach, nawet także w Krakowie, nie bacząc na zakaz, obowiązujący gimnazjalistów — jakoś mi to uchodziło. Oddalałem się wtedy od mej lubelskiej gazetki, aż, oczywiście, odszedłem, potem, już w latach uniwersyteckich, nie pamiętałem o „Ziemi Lubelskiej" i nie interesowałem się „prowincjonalnym" pismem, drukując już w czasopismach literackich i w wielu gazetach o więcej ogólnopolskim charakterze.

Ale jeszcze w roku 1926 znalazłem w „Ziemi Lubelskiej" piękny artykuł o sobie i o „Gazecie Literackiej", której — wraz z Jerzym Braunem i Adamem Polewką — byłem współredaktorem. Przysłano mi ten numer czy wycinek z niego: duży, piękny artykuł o naszym piśmie, przedruk mego wiersza z jednego z ostatnich numerów „Gazety" i na końcu notatka przypominająca, że przed kilku laty debiutowałem jako poeta właśnie na łamach „Ziemi".

Teraz często spotykam ten tytuł — „Ziemia Lubelska" we wspomnieniach ludzi lubelskich, w notatkach o poetach, w kompediach odnoszących się do przedwojennej prasy. Okazuje się, że „Ziemia Lubelska" odgrywała sporą rolę w życiu kulturalnym Lubelszczyzny, nie było to pisemko bez znaczenia, pisemko tylko informacyjne, był to organ o charakterze literackim i to w niektórych swoich okresach bardzo znamienity. Dodatek literacki redagowali okresowo wybitni poeci, w „Ziemi Lubelskiej" drukowali najznakomitsi twórcy nie tylko Ziemi Lubelskiej.

Z tych lat, w których codziennie brałem do ręki „Ziemię Lubelską" i otwierałem numer, patrząc, czy ukazał się następny mój wiersz, pamiętam kilka nazwisk poetów, których utwory najczęściej znajdowałem w tym piśmie. Są to nazwiska całkowicie dziś odległe, nic nie mówiące — przetrwały w mej pamięci, a może ktoś umiałby coś o nich więcej powiedzieć. Jedno tylko nazwisko — Jagienki spod Lublina (pseudonim Wandy Śliwiny) — spotkałem kilka razy w jakichś wspomnieniach i ostatnio w pięknej „Antologii poetów lubelskich dwudziestolecia międzywojennego". Inne nazwiska gdzieś przepadły, a jakże często wtedy czytałem ich wiersze na łamach „Ziemi Lubelskiej". Najwięcej było wierszy podpisywanych El-er — jak się dowiedziałem, był to kryptonim ówczesnego redaktora pisma, dziennikarza i poety Leona Radziejowskiego, który potem dziennikarzował w Warszawie, ale jako poeta zniknął całkiem. Były to wiersze liryczne, wtedy wydawały mi się piękne, niektóre nawet do dziś przetrwały w mej pamięci, jak ów wiersz o „bzach białych więdnących w flakonie" — a może „w salonie"? Tak, białych bzach, bo o bzach się wtedy pisało, o wiosnach i jesieniach, deszczach i śniegach — ja też tak pisałem, bo taka to była epoka. Gdy była wiosna, prosiłem ją w wierszu: „Przyjdź do mnie dziś wieczorem — gdy ziemię mrok owionie. — Na sercu mojem chorem — litosne połóż dłonie. — jaśminem opleć włosy, — bratkami prószę wokoło, — kropelki wonnej rosy — niech spadną na me czoło".

A gdy była jesień, pisałem: „Żal mi cię, wiosno, żal, — słowicza ty piosenko, — co stałaś się tak miękko — kaskadą lekkich drżeń, — bo smutku przyszedł cień — wśród deszczu srebrnych fal... — Żal mi cię, wiosno, żal...". I pisałem: „Bzom, które dziś, — w wiosenny dzień, — twój umaity dom, — błogosławieństwo śle". I wiele, wiele podobnie naiwnych wierszyków — a „Ziemia Lubelska" drukowała to wszystko, razem z podobnymi w gruncie wierszami swego naczelnego redaktora — El-er'a...

Poza nim najczęściej drukowali tam wiersze: wspomniana już Jagienka spod Lublina, mieszkająca w Hrubieszowie, Witold Mogilnicki, Jacek Hoplita, Jerzy Olkiewicz i pisujący po polsku poeta gruziński Sergiusz Kuruliszwili. Interesujące byłoby dowiedzieć się, co się z tymi poetami tamtych czasów stało — wiem z „Antologii lubelskich poetów", że Jagienka spod Lublina zmarła podczas wojny. O innych wszelki słuch przepadł.

Pamiętam też, że „Ziemia Lubelska" prowadziła bardzo ciekawy dział, zapewne ze względu na poetyckie upodobania swego naczelnego redaktora. Był to dział zatytułowany „Antologia współczesna", który ukazywał się w piśmie często, nieraz dzień w dzień, a pod tym stałym tytułem „Ziemia" przedrukowywała wiersze z innych pism. Była to swoista antologia współczesna — jakże dobry pomysł, jak słuszny. Nieraz dziwiłem się, że nawet w tych czasach, gdy wiersz należał do stałych rubryk pism codziennych, gdy redakcje nie bały się poezji, jak diabeł święconej wody, co dzisiaj tak dotkliwie i drastycznie obserwujemy, nawet wtedy nikt nie podchwycił pomysłu redaktora „Ziemi Lubelskiej" i nie prowadził takiej antologii poetyckiej na łamach swego dziennika. Inna rzecz, że przed wojną tyle wierszy zawsze drukowano w pismach codziennych, iż taka rubryka nie wydawała się konieczna.

Taki to był mój Lublin sprzed 45 lat, Lublin mego sztubackiego debiutu, Lublin mych pierwszych wierszy, Lublin tego jedynego w życiu wzruszenia, niepowtarzalnego, niezapomnianego. Dlatego ja, rdzenny krakowianin, czuję się z tym miastem jakoś związany, jakby Lublin był jednak w jakiejś mierze — m o i m Lublinem.

STRYKO FILIP

EDWARD REDLIŃSKI

STRYKO Filip przychodził do nas co niedzielę z rana. Gdy zaszczekał Żuczek, ojciec wyglądał przez okno, a my, dzieciaki, biegliśmy hurmą do drzwi. Słychać było obtupywanie butów w sieni, chrobotanie skobelka i oto w kłębach pary ukazywał się oszroniony chochoł.

— Niech będzie pochwalony... — dalsze słowa ginęły wśród chrzęstu i posapywania. Chochoł zdejmował czapkę, otrzepywał nią szynel i buciory, smarkał na podłogę i rozmazując to podeszwą, zagajał: — A szto czuć odzie u nas na kolonii, a? Zaraz potem łowił w przepastnych kieszeniach gruszki — suche, pomarszczone, pachnące dymem i szynelem — dawał nam po jednej i siadał na ławie koło pieca.

Sześć par wytrzeszczonych oczu oglądało rozpoczynające się misterium.

Ojciec odpinał pasek, zaczepiał sprzączkę o gwóźdź przy oknie i ostrzył brzytwę. Splunąwszy na pędzel, mydlił strykowi brodę i zabierał się do golenia. Tymczasem matka stawiała na stole miskę kapuśniaku z pływającym kawałkiem słoninki. Wygolony, lśniący, stryko jeszcze raz wycierał oczy z ropy, i nos, żeby nie kapało do miski; między jedną a drugą łyżką strawy opowiadał, komu we wsi zabrali krowę za podatki, gdzie były rajki i która panna grubieje.

— Gdyby Filip umiał tak gospodarzyć jak opowiadać — mówił ojciec — byłby najbogatszy w okolicy.

Prawda, nietęgi był ze stryka gospodarz. Hodował tylko krowę i kota, kosę szykował dopiero wtedy, gdy inni kończyli żniwa, snopki woził z pola taczką. Niezmiennie, lato czy zima, chodził w wojskowym szynelu, baraniej czapce i gumowych trzewikach.

Za to kiedy przyjechało do wsi kino, stryko pierwszy zjawiał się w sali. Za bilet nie płacił.

— Za szto? Toż ja nie czuju, nie baczu! Niedowidział i nie dosłyszał. Siadał w pierwszej ławce, dwa metry przed ekranem, wśród dzieci. Wyszturchany, wyszczypany, wychodził z kina promieniejący. Później, w niedzielę, opowiadał ojcu film cudacznie zmontowany z uchwyconych cieni i słów. Słuchałem opowieści stryka z otwartymi ustami. Jego film był po stokroć barwniejszy i ciekawszy.

Którejś niedzieli, jak zwykle, zaszczekał Żuczek, zatupotało w sieni i w drzwiach ukazał się... ktoś w kapeluszu i szarej jesionce. Cofnęliśmy się od progu. Gość smarkał przez palce na podłogę i junackim gestem postawił na stole ćwiartkę. Nie dowierzaliśmy naszym oczom i uszom.

— Dau ja uczora na zapowiedzi! — oznajmił przybysz. Pamiętam, chodziło o Karolkę z Suraża. Miała trzy hektary łąki nad Narwią, dwie krowy, wyprawę. A lat sześćdziesiąt. Ojciec, gdy ochłonął ze zdumienia, pokiwał głową.

— Swojej gliny wystarczyłoby wam, Filip, pod trumnę.

— Nu szto ty, Jozef — żachnął się stryko — mnie sześćdziesiąt osiem let. Ee, z baboj ja szcze zahospodaru!

Nie wypili wtedy tej wódki. — Zaczekajmy do wesela — powiedział ojciec i stryko włożył ćwiartkę z powrotem do kieszeni.

Daremnie wyglądaliśmy go przez dwie następne niedziele. Zjawił się u nas aż po trzech tygodniach, był potrójnie zarośnięty i niedołężny. Potknął się na progu, z trudem wymacał stołek, nie odpowiadał na pytania. Wiedzieliśmy już zresztą: panna młoda nie żyje. Pogrzeb odbył się akurat w przeddzień ślubu. Karolka zdążyła jeszcze zaczynić pierogi, nawet rozpaliła w piecu. Co prawda szykowała się do wesela, nie do stypy.

*

Historia strykowego pecha ciągnie się akurat tyle, ile lat ma stryko. Już pechem było urodzić się w tamtych czasach. O, gdyby przyszedł na świat sześćdziesiąt lat później, na przykład razem ze mną, byłoby inaczej. Na życiorys wystarczyłaby mu ćwiartka kancelaryjnego arkusza. A tak...

Z uwłaszczenia Bonder — ojciec dostał dwa pańszczyźniane zagony. Klepał biedę, nędzarzył, dopóki nie dorobił się sześciu synów. Co wiosnę rozwoził ich po wioskach paść krowy na wspólnotach. „Pastuch-generał" — śmieli się chłopi ze starego. Do czasu. Jesienią ruszał Bonder w drugi kurs. Brał po trzy pudy żyta za krowę, żaden z gospodarzy nie miał takich żniw.

Stryko Filip był najmłodszy z szóstki. Właśnie jemu wypadło iść w sołdaty, na dwadzieścia pięć lat. Stary długo ważył coś w myślach. Wreszcie załadował na wóz trzy worki żyta, zawołał Filipa i pojechali do Pomygacz do Bambuły, który był konowałem i znał się na rzeczy.

— Widzenie czy słyszenie? — zapytał Bambuła, położywszy chłopca na ławie i zwaliwszy się ciężkim zadem na pierś.

— ... Słyszenie — zadecydował stary.

Tamten szturchnął szpikulcem dwa razy — raz w lewe ucho, raz w prawe — Filip kraknął dwa razy i odjechali. Już w Pomygaczach zaczął mu świat cichnąć, a w Szerenosach nastało zmierzchać, choć słonko było wysoko na niebie.

Na komisji młody kapitan aż poczerwieniał. — Ot, sukinsyny! — zasyczał. — Obydwa nerwy naruszyli. A tobie swiet propal! — wrzasnął nagle, wsiadł na konia, wpadł galopem na gumno i wychlastał Bondera po mordzie. A w sołdaty zabrał starszego, Serafina.

Rzecz jasna, Filip przestał paść krowy, bo co w tym fachu po głuchym i ślepym? Stary przywiózł mu z Białegostoku harmoń, trzyrzędówkę. Opowiadają we wsi: płakał, gdy Filip grał przyciskając ucho do pudła.

Potem tyfus zabrał wszystkich oprócz stryka Filipa, a wojna bratu Serafinowi kulę zafundowała. Został stryko na świecie w pojedynkę. Prawda, z harmonią.

Później — tak opowiadają — było o stryku w gazecie. „Jakieś panowie" zabrali go do Warszawy na leczenie, za dobroczynne pieniądze. Wrócił zaklejony na uszach i oczach. Teraz chodził ostrożniutko, spał pół leżąc, nawet przy potrzebie nie kucał. Tak kazali doktorzy. Okazało się — na nic. Tak, na nic. Usiadł raz stryko na studni, znaczy się na cembrowinie, twarzą do słońca. Może ciepło go omdliło? A może jasność pchnęła do tyłu? Gdy wyciągnęli stryka z wody, sam pozdzierał bandaże i kleje, te niepotrzebne flaki.

Od tego wypadku widzi świat jak przez zamarzniętą szybę, a słyszy jakby z piwnicy. Przepadło na zawsze strykowe pasienie, na koniach hasanie, z dziewczętami po stogach łażenie.

Prawda, stara Rozwora opowiadała, przyciskając ręce do pustego stanika, że bywało przy weselach i chrzcinach, gdy mężczyźni urżną się samogonem, co poniektóra baba odprowadzała głuchego muzykanta do domu. Tam i śmieci przymiotła i szlabanek zasłała. A co litościwsze to i kładły się pod tę tyfusową pierzynę, wynagrodzić bo babsku krzywdę zawinioną przez Pana Boga.

W trzydziestym dziewiątym roku w chatę rąbnął pocisk, prosto w piec. Na piecu leżała harmoń, strykowa siostra. Przez pół dnia nie otwierał Filip drzwi, klnąc strasznie na Boga, ludzi i Niemców. Wreszcie wyszedł z rozdartej chaty, ale taki przemieniony i poważny, że sołtys Burski zbielał i zapytał: „Co wam, stryku Filipie...". — Tak powiedział: „Stryku Filipie", a nie: „Filip". Odtąd wszyscy mówią tak samo „stryku Filipie".

*

Właśnie owego roku narodziło się moje życie — cichy kiełek, o piędź od żółtego źdźbła strykowego — i wnet strzeliło w górę zielonym pędem. A tamto niezmiennie sterczało jak bezkłosy badyl.

— Stryku — pochwaliłem się wkrótce — zdałem na studia!

— O! Chwat! Uczysie, Paweł, inżynierom budziesz!

I cóż... „Panie dyrektorze" — mówią dziś do mnie w fabryce. — „Gratulujemy, towarzyszu — telefonuje sekretarz — półrocze — znakomicie! Tylko nie połóżcie trzeciego kwartału...".

Nabieram rutyny, uczę się, podziwiam perfekcję suwaka logarytmicznego. Mam czarny parasol, bywam na brydżu u znajomych. Mecenas K. przepowiada mi posadę w ministerstwie, a mecenasowa podsuwa córuchnę. Przed obiadem przecieram okulary i szukam w jadłospisie diety II. Dawno, gdzieś w akademickich stołówkach, zgubiłem smak strykowych gruszek.

Pod koniec czwartego kwartału, jak wiadomo, są dwa dni wolnego. Decyzja przyszła sama. Kupiłem bilet, wróciłem pociągami tam, gdzie w wigilię poszczą do wieczora, a w niedzielę jedzą najtłustszy w roku kapuśniak. W tym domu przybyło wiele lat obrazom, ławie i miskom. Siostry ustąpiły miejsca bratowym. Żuczek dawno przestał obszczekiwać stryka, ciągnąć go za poły, rozwijać onuce. Ojcowa brzytwa od lat leży w kuferku nieostrzona. Kto inny goli dziś naszego Sabałę. „Ale na kapuśniak stryko przychodzi co niedzielę" — uśmiecha się spod pieca matka staruszka.

Tym razem nie przyszedł. „Może chory?" — zaniepokoiła się matka, gdy nie zjawił się ani pierwszego, ani drugiego dnia świąt. Pod wieczór, w przypływie sentymentu, wziąłem do kieszeni kawał świątecznej kiełbasy, nożyce i ruszyłem do wsi.

Stryko leżał pod pierzyną w szynelu i gumiakach. Jakże się ucieszył. Zapaliłem lampę.

Kiedy go ostrzygłem — a czoło, pamiętam, płonęło gorączką — zauważył na stole kiełbasę.

— Maju wodku, Paweł. W kuferku ona.

Ćwiartka leżała tuż pod wiekiem. Zalakowana. „Wódka czysta zwykła" — przeczytałem — „Cena 9 zł" — i serce mi się skruszyło. Czyżby tamta sprzed szesnastu lat, której wtedy z ojcem nie wypili? Rozlałem ją do kubków. Ech, ludzie... Była gorzka jak piołun!

Stryko przymknął oczy, zadumał się. Może także nad niepoślodzoną „gorzką wódką"... Wreszcie rozgrzany nieco zaczął namawiać mnie, żebym po studiach — nie wiedział, że jestem już inżynierem — przyjechał do niego, razem zagospodarzyć leżące odłogi.

— Maju uże osiemdziesiat piać let. A jak umru, wozmiesz ziemlu sobie — powiedział z wielkodusznością w głosie.

Ech stryku — i po cóż mi wasza ziemia, kiedy nasze drogi rozwiodły się tak niedorzecznie?

— Dobrze — skłamałem jednak przy święcie. — Za rok, po dyplomie, przyjadę.

Wypiliśmy resztki. Stryko znowu promieniał. Rozebrałem go na dobre.

Harmonju mnie daj! — zakrzyknął i prawie natychmiast, osunąwszy się na poduszkę, zapadł w dobry ciepły sen.

Dogasała lampa, skwierczał knot. Na ulicy rozbłysła elektryczność. Ostrożnie, na palcach szedłem ku drzwiom. Wiedziałem już, że nigdy nie wrócę do orania ziemi, że nijak nie dostąpię strykowej mądrości. Choć kawałki jego harmonii znajdowałem kiedyś po ogrodach.

SPOTKANIE

MICHAŁ RUBIN

Ile razy otwierałem drzwi do sali, nawet już po obchodzie, wzrok chorych szybko przesuwał się z mojej twarzy ku dołowi, na wystające spod fartucha nogawki spodni. Spojrzenia stawały się czasem ostre i czujne, czasem obojętne. Widziałem te zmiany, ale nie mogłem się zorientować, o co chodzi. Aż wreszcie jeden z rekonwalescentów, opuszczający szpital, ujawnił mi „tajemnicę" pacjentów.

— Bo widzi pan doktór — rzekł, patrząc gdzieś w bok — chorzy wiedzą, kiedy pan będzie „krajał".

— Nie rozumiem — odparłem zdumiony.

— No... po prostu... jak pan doktór na obchód przyjdzie w tych białych spodniach, to już wiadomo, że ktoś pójdzie na stół, a jak zobaczą zwykłe spodnie to znaczy, że będzie spokój.

Postanowiłem od tej pory na obchód nie przebierać się.

Wizytacja sal zbliżała się ku końcowi. Wyznaczyłem kilku pacjentów na opatrunki i podszedłem do chorego leżącego na łóżku koło drzwi. Uśmiechnąłem się — ale nie odpowiedział. Ująłem jego rękę. Tętno miał trochę przyśpieszone. To się zdarza u chorych, którzy oczekują operacji.

— Cóż to, humor się zepsuł? — zagadnąłem.

— Miałem zły sen — wyszeptał cicho. — Chyba pan doktor nie myśli dzisiaj... Zresztą spodnie — dodał, patrząc na moje nogi.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

— Ja miałem doskonały sen. Będzie dobrze.

— Panie doktorze, bóle zupełnie ustąpiły — bronił się pacjent.

— Przy ropnym woreczku nie można operować wtedy, gdy boli — wyjaśniłem. — A czekać dłużej nie wolno, bo jak przyjdą bóle, może być gorzej.

Spojrzałem na siostrę. Zrozumiała. Pacjent, śledzący każdy nasz ruch, również zrozumiał, bo zrezygnowany odwrócił głowę w stronę ściany i jakby zdrętwiał. Nie lubiłem tego rodzaju sytuacji. Usiłowałem zawsze współdziałać z chorym, szczególnie, gdy zachodziła konieczność interwencji chirurgicznej. Oporny pacjent wprawiał mnie w jakiś trudno wytłumaczalny, podświadomy lęk i bardzo niechętnie przystępowałem do operacji.

Chciałem już opuścić salę, gdy w drzwiach ukazał się ordynator oddziału internistycznego.

— Kolego! — wyrzucił z siebie z trudem — moja wnuczka! — I łapiąc moją rękę pociągnął mnie na korytarz.

W jego gabinecie, otoczona całą chyba rodziną, leżała na kozetce skurczona z bólu dziewczynka. Palcami stwierdziłem wzmożenie napięcia powłok brzusznych i w prawym dole biodrowym silną bolesność. Uniosłem prawą nóżkę ku górze — dziecko krzyknęło.

— Appendicitis simplex — zwróciłem się do zrozpaczonego dziadka.

— Nie stwierdza kolega peritonitis acuta?

„No tak, pomyślałem ze złością. Doświadczony internista traci głowę, bo pacjent jest jego wnuczką i oczekuje najgorszego: zapalenia otrzewnej".

— Nie stwierdziłem objawu Blumberga — odpowiedziałem dość szorstko.

— Zrobi pan?

— Jeśli pan doktor sobie życzy... ale mam przygotowanego pacjenta z woreczkiem — usiłowałem się wymówić od dokonania zabiegu. Nic ma bowiem nic gorszego, jak leczenie lekarza lub jego rodziny — komplikacje nieuniknione.

— Drogi panie kolego... — rozpoczął ordynator błagalnie, biorąc mnie za rękę.

— No dobrze, przyślę zaraz siostrę — skapitulowałem.

— Panie doktorze — zwróciła się do mnie matka dziewczynki — jestem bardzo wdzięczna, ale proszę łaskawie o małe cięcie... przecież to dziewczynka.

Przygotowywałem się do operacji klnąc na czym świat stoi. Na stole operacyjnym, pochylonym z lekka na lewą stronę, leżała uśpiona pacjentka. Wśród bieli serwet mocnym kontrastem uwidaczniało się wytarte jodyną pole operacyjne. Wysunąłem rękę po skalpel.

— Tętno? — zapytałem machinalnie.

— Normalne, 76 — padła obojętna odpowiedź.

Poczułem w ręku metal. „Małe nacięcie — przecież to dziewczynka" — przeszła przez myśl prośba matki operowanej. Psiakrew... Byłem przygotowany na cięcie Jolaguiera, bardzo wygodne w niejasnych sytuacjach, ale mimo złości na niedorzeczną w tym wypadku prośbę — zmieniłem kierunek skalpela. Zrobiłem cięcie poprzeczne i uchwyciłem spojrzenie asystujących.

— Będzie mało widoczna blizna — rzekłem jakby do siebie.

— Haki! — syknąłem zupełnie niepotrzebnie, bo asystent odsuwał już mięśnie brzucha.

Przeciąłem otrzewną. By wyłonić kątnicę z jamy brzusznej pociągnąłem ją w dół, a następnie przegiąłem jej szczyt w stronę brzegu rany. Oczywiście wyrostka nie było. Zmuszony byłem przedłużyć cięcie. Przypomniała mi się znów prośba matki... Położenie wyrostka okazało się niezwykłe. Leżał po prostu na nerce, wierzchołkiem dotykając wątroby. Zabieg trwał przeszło godzinę. Po nałożeniu szwu odetchnąłem z ulgą. Opowiedziałem wszystko dziadkowi pacjentki. Nie obeszło się, rzecz jasna, bez różnych przypuszczeń co do ewentualnych komplikacji pooperacyjnych. Jakże inaczej...

Zabieg nie tyle mniej zmęczył, co wyprowadził z równowagi.

Sięgnąłem teraz po historię choroby pacjenta przygotowanego poprzednio do operacji i pijąc mocną kawę zacząłem ją przeglądać. Ropne zapalenie. Zmiany były bardzo znaczne. Zdjęcie retngenowskie wskazywało na uwięźnienie kamienia w szyjce woreczka. Ponieważ chory przechodził żółtaczkę należało jeszcze dokonać „rewizji dróg żółciowych" — słowem roboty dużo. Zadzwoniłem po siostrę oddziałową i wydałem odpowiednie dyspozycje. Narada z lekarzami biorącymi udział w operacji, jeszcze papieros i skierowałem się znów do sali operacyjnej.

Na korytarzu zatrzymał mnie lekarz dyżurny:

— Do izby przyjęć przywieźli pacjenta.

— Ja mam teraz operację.

— Mówiła mi siostra oddziałowa, ale to prawdopodobnie perforacja wrzodu żołądka. Nagły wypadek.

— Do diabła — zakląłem. — Co za zwariowany dzień... Proszę szybko zrobić rentgen. Wezwałem lekarzy do siebie, do gabinetu.

— Kto zrobi operację pacjentowi z „szóstki"? Ja mam nagły wypadek — wyjaśniłem.

— Mogę zrobić — zaofiarował się lekarz, sprawujący opiekę nad salą, w której leżał pacjent.

— A jednak chory miał nosa — zauważył jeden z młodych lekarzy.

— Nie rozumiem?

— No... spodnie...

Udałem się ponownie do sali operacyjnej. Ktoś podał mi gotowe już zdjęcie rentgenowskie. Wolny gaz w jamie brzusznej pod przeponą potwierdzał diagnozę dyżurnego lekarza. Perforatio ulceris ventriculi. Wzrok mój zatrzymał się na brzegu kliszy, na której tuszem wypisane było „nazwisko prześwietlonego.

Oparłem się o brzeg oszklonej szafy.

— Co panu, panie doktorze? — usłyszałem jak przez mgłę czyjś głos.

— Gdzie się chory urodził? — wykrztusiłem. Odpowiedź potwierdzała moje przypuszczenie. „Po tylu latach... A może nie operować? Nie... W masce operacyjnej nie pozna mnie. Nic nie może się stać, uda się... Musi się udać!"

— Proszę choremu wstrzyknąć Scopliedol — zadysponowałem. Myjąc się do operacji usłyszałem dzwonek telefonu. Wzdrygnąłem się.

— Siostra przyjmie telefon — powiedziałem machinalnie.

* * *

...Wtedy też rozległ się dzwonek, ale u drzwi. Trwożliwe spojrzenie matki: o tej porze? To chyba ktoś z sąsiadów — przemknęło mi przez myśl.

Nie było słychać samochodu... W drzwiach ukazała się barczysta postać sąsiada z parteru.

— Moje uszanowanie — rzekł wyzywająco i popchnąwszy mnie znalazł się w korytarzu.

— Aa... to pan — wyszeptała matka, stając na progu pokoju. — Proszę, niech pan wejdzie. O tej porze trudno być spokojnym, gdy ktoś dzwoni.

— A tak. Czasy niepewne, rozumiem — oświadczył sadowiąc się na kozetce.

— Nie wie pani kto ma trochę złota, biżuterii? — zaczął wyjaśniać cel swojej wizyty.

— Skąd, proszę pana, my przecież — jąkała się matka blednąc.

— Ja państwa znam. Tyle lat w jednej kamienicy. Ale Żydzi teraz sprzedają za chleb, za schronienie. Myślałem, że pani...

— My z tymi sprawami nie mamy nic wspólnego — wtrąciłem sucho.

— Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi...

— Proszę opuścić nasze mieszkanie!

— Ty mnie wyrzucasz? Pożałujesz!

— Ależ proszę pana — starała się załagodzić matka.

— Nasze piwnice sąsiadują ze sobą! Wiem dobrze, co się tam dzieje!

Z niespotykaną u mnie siłą wypchnąłem intruza z mieszkania. Siedzieliśmy dłuższą chwilę w milczeniu.

— Dziś już nic nie poradzimy, godzina policyjna — przerwałem ciążącą ciszę.

— Co my zrobimy? Myślisz, że on jest zdolny?...

— Na pewno tylko straszy. Przypuszcza, że mu się uda szantaż — starałem się uspokoić matkę.

— Co ta przeklęta wojna zrobiła z ludzi.

— Niech się mama uspokoi. Jutro z samego rana pójdę do Stacha i do wujostwa. Ofiarowali się przecież. Na pewno będzie dobrze. Zobaczy mama.

— Oby tak było, moje dziecko.

Nazajutrz, gdy wracałem z miasta, w bramie zatrzymał mnie dozorca. Zrozumiałem bez słów...

* * *

Pewnym krokiem, z wyciągniętymi rękoma, podszedłem do stołu operacyjnego. Czułem palce pielęgniarki, zawiązującej mi fartuch. Ręce wśliznęły się w wytalkowane rękawice. Rozczapierzona dłoń uchwyciła podany skalpel. Starałem się nie myśleć o tym kogo operuję. Stwierdziłem jednak z zadowoleniem, że ruchy moje są rozważne, jakby wyzbyte rutyny, ale i pewne.

— Pan, doktorze, był jakiś zawzięty — zauważył asystujący mi lekarz, gdy opuszczaliśmy salę operacyjną. — Nie widziałem jeszcze pana takiego. Jak nastąpiła zapaść, to dosłownie przestraszyłem się pańskiego wzroku.

— Zawzięty? Zdawało się panu, kolego. Zdrzemnę się trochę, bo padam z nóg.

— Nie pojedzie pan jeszcze do domu? — zdziwił się asystent.

— Poczekam, aż chory obudzi się z narkozy.

Gdy się obudziłem, było już ciemno. Zadzwoniłem po dyżurną pielęgniarkę. Na biurku stał potężny kosz z kwiatami.

— Jak chory? — zapytałem wchodzącą.

— Nie żyje...

— Co?!

— To ten z woreczkiem... Nie chcieliśmy budzić. A pacjent pana doktora — dodała szybko — budzi się. Siedzi przy nim lekarz dyżurny.

— Co to, siostro, za kwiaty? — zapytałem jakoś machinalnie, po prostu aby coś powiedzieć.

— To córka operowanego przyniosła. Dla pana doktora.

— Niech siostra wyrzuci te kwiaty! Wyrzuci! Słyszy siostra?

Z poezji czeskiej i słowackiej

STANISŁAW KOSTKA NEUMANN

in memoriam federico garcia lorca

(fragmenty)

słodka gitara słodka andaluzja,
gdzie nocą jaśminu wonie,
rzucono w krew ją, rzucono w gruz ją,
osierociał wodotrysk i próżno łzy roni
na mirty jej i na magnolie.

osierociał i cyprys i nadmorski brzeg,
a pomarańcza czeka na te struny,
których pobrzęku modry wieczór strzegł,
gdy miękkie palce luny
na oliwkach i piniach malowały runy,
i liryzm ziemi stracił melodyjny dech.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

nie śpiewa już z biedotą, z pasterzami owiec,
ścieżyną sierry więcej nie jedzie na mule,
i trawa do snu go ani jałowiec
ufnego nie utulą...

tak, strzaskali gitarę, zabili człowieka
za to, że ziemię kochał, lud i pieśń,
był śpiewem tylko, śpiewem z bliska i z daleka
tam, gdzie rozrosła się pieśń.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

ten głos uśpiony, aksamitny głos,
gitara słodka, andaluzja słodka,
wróci znów w blasku zwyciężywszy los,
gdy groza nocy słońce znowu spotka.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

zawsze te pieśni gitary z grenady
we krwi skąpane,
będą wracały do wiejskiej gromady
do łąk, ogrodów, winnic, za okna i ściany
i o poecie, który dla ludu się trudził,
zaśpiewa dziewka prosta i pastuszek stad.

będzie praca i spokój wśród ludzi
libertad.

FRÁŇA ŠRÁMEK

Finale

Wśród kwitnących głogów
już się nie spotkamy.
Jeśli szukasz mnie, to znajdziesz
pod świerkową czernią.

Wśród kwitnących głogów
ciebiem tak kochała.
A do czarnych, czarnych lasów
zawsze pójść się bałam.

Wśród kwitnących głogów
zawsze się kochamy.
Ale kopać grób idziemy
pod świerkową czernią.

JAN SMREK

Pieśń niby morska

Marzeniem mym był okręt biały
na morzu i w wichurze.
Śpiew holenderskich marynarzy
od dawna już mnie urzekł.

Dziś pruje morze sto okrętów,
sto flag spotyka się na szlakach.
Lecz ja na brzegu pozostaję.
Ty milsza jesteś mi nad wszystkie
najpowabniejsze kraje,
tyś droższa mi nad wszystkie cudy świata.

Biało-błękitni marynarze
już opuścili Rotterdam.
Niechaj pomyślnie sobie płyną,
„Szczęść Boże" wam!
Dziś nie mam czasu na pływanie,
dziś chcę zarzucić złotą kotew
do serca twego,
dziewczę moje,
mój słodki kapitanie!

Wiem, że na masztów smukłe drzewa
niejedna lekko sfrunie mewa —
cieszcie się nimi, marynarze!
Ja cieszę się: na mej dziewczyny twarzy
czarowny siedzi motyl
miłości mojej.

(„Božské uzly")

Pieśń o twoim imieniu

Skreśliłem imię twe na piasku,
ale się miłość nie ustrzeże:
przeszła się po nim stopa barbarzyńcy.
Teraz na brzozie tnę je w słońca blasku
i ptakom straż powierzę.

Obok przepływa szmaragdowa rzeka,
ty się zwierciadłu jej polecisz
i gdy w jej głębiach cały się zanurzę,
ustami dotknę najłaskawszych smużek,
na których świecisz.

(„Zrno")

Przełożył
K. A. Jaworski

Obrona Medei

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

EURYPIDES: Medea, którą tu widziałem, jest mi nie znana.

REŻYSER: Czyż Medea nie jest i tu tą samą, co zawsze: córką Ajetesa, żoną Jazona, czarodziejką...

EURYPIDES: Z pozoru. Ale to, co jest jej istotą: wielkość, nieustępliwość namiętności aż do samozniszczenia — gdzież to jest?...

(Jan Parandowski — „Medea", Epilog)

BOGATY w efektowne perypetie mit o Argonautach, a zwłaszcza konflikt korynckí (najbliższy konkretnej rzeczywistości), podniecał od wielu stuleci wyobraźnię artystów różnego autoramentu. Podniecał, ale zarazem jakby nakładał jej pęta. Wszyscy, zaczynając od Eurypidesa, odtwarzali okrutne „fakty" mitu, które czynią z Medei zbrodniarkę. Jest nią . w tragedii Seneki, obładowanej zjawiskami nadprzyrodzonymi i w nudnej na sposób pseudoklasyczny tragedii Corneille'a, i u Grillparzera, i na znakomitym obrazie Delacroix, i w pełnej grozy operze Cherubiniego... Za naszych czasów tę niedobrą tradycję przejmuje bezkrytycznie choćby Anouilh czy Brandstaetter, pokazujący Medeę jako dzieciobójczynię („*Z jej wysoko wzniesionych dłoni ścieka krew...*") w utworze, gdzie postacie są przytłoczone filozofowaniem o posmaku egzystencjalistycznym.

Wprawdzie czytamy już u Eurypidesa:

Gdy mędrzec się przed głupcem czymś nowym pochwali,
Otrzyma wnet przydomek pustego mądrali,
A jeśli więcej znaczy od tych, co mniemanie
O sobie mają wielkie, wnet się mu dostanie
W udziale zawiść tłumu... *

— jednakże Medea sławnego Greka, doprowadzona do ostateczności, realizuje cały mitologiczny rejestr zbrodni.

Otóż Medea Parandowskiego zbrodni nie popełnia. Nawet przy wybuchu pożaru zamku ma alibi, niechby i nieco dwuznaczne.

Autor tej „Medei" „bez machin i bóstw" odsłania mechanizm mitu poprzez scenę sądu, w akcie II, i niedorzeczne insynuacje tłumu na agorze. Medea, cudzoziemka, jest otoczona nieufnością, staje się ofiarą głupoty i ignorancji wszelkich Peliad. Występuje tutaj także wyraźnie zależność decyzji instytucjonalnych od „racji stanu" wytworzonej przez rzekomą opinię publiczną.

To nie przypadek, że taką sztukę napisał Jan Parandowski. Od lat blisko trzydziestu działa on niestrudzenie w Międzynarodowej Federacji PEN-Clubów, organizacji pisarzy, w której obowiązuje członków zasada zwalczania antagonizmów wrogich pokojowym ideałom ludzkości. I właśnie „odkłamanie" złych mitów stanowi o aktualności „Medei". Mitów pojętych bardzo szeroko, bo niezawinioną izolację bohaterki powoduje nie tylko obce pochodzenie, ale w ogóle jej „inność". Wyodrębnia ją z przyziemnego środowiska intelekt i polot poetycki. Ten motyw, bliski Eurypidesowemu, brzmi u Parandowskiego nie w sentencjonalnych sformułowaniach, lecz w żywych ludzkich starciach, w postawach, a chociażby i w pozornie prostej, pogodnej rozmowie przy krosnach.

Broniąc Medei od niesławy zrodzonej z legendy i literatury, Parandowski jednocześnie podchodzi do jej środowiska ze zrozumieniem słabości ludzkich. Nie widać w tym Koryncie ludzi całkiem złych, są ludzie zwykli ze swymi racjami rzadziej słusznymi, częściej urojonymi (przy tej okazji przypomina mi się Sąd Ostateczny Fra Angelico, na którym nawet diabły mają miny łagodne!).

Bardzo subtelnie nakreślił autor postać Kreona. Inteligentny, rozkochany w opowieściach bajecznych, właściwie również góruje w dużym stopniu nad otoczeniem. Nie chce panować przy pomocy dzid i mieczów. Jest trochę Schöngeistem, trochę królem „z powiastki dla dzieci" i ma „kłopoty nie na swoją miarę", bo w praktyce pragnąłby być sprawiedliwym, aczkolwiek urobił sobie teorię, jakoby „*ze wszystkich pragnień to może jest najbardziej niebezpieczne. Jest uparte, nieustępliwe, natrętne, nie da się uśmierzyć rozsądnym układem, wzajemnym ustępstwem. Miota się w natarczywych pytaniach, zaczęło się od obola, o którym można było mówić: albo zgubiony, albo skradziony i ani się spostrzeżesz, jak obol uskoczy w jakieś ciemne zakamarki, gdzie leżą stare skrwawione szmaty i oto już widma nieznane lub dawno zapomniane straszą po mieście*".

Co do Jazona, to nie czyniąc z niego czarnego charakteru, autor go wszakże zdecydowanie odbrązowił. „*Biedny, strapiony chłopiec*" — nie wiadomo, skąd wziął „*odwagę i stanowczość, by wyruszyć do Kolchidy*"... On z kolei był mitem wymarzonym przez Medeę na dodatnio. A w końcu ugina się pod jej przewagą i pod presją „opinii". Należy do rzeszy tych nijakich, których nie przyjmie ani dantejskie piekło, ani niebo.

Zasadniczy konflikt Medei jest przeto konfliktem ze środowiskiem.

Na pewno „Medea" z jej propagandą (tak, propagandą w najszlachetniejszym słowa znaczeniu!) zaufania do człowieka, tolerancji, „prawa do odrębności" — odpowiada najbardziej palącym potrzebom współczesnych społeczeństw.

W parze z aktualnością ideową idzie też nowoczesność formalna sztuki Jana Parandowskiego. Niedawno temu zwierzył mi się pewien młody czytelnik, że podczas gdy nie mógł przebrnąć przez wierszowane tłumaczenie epopei Homera, „Odyseję", którą przełożył Parandowski piękną prozą, pochłonął jak sensacyjną powieść. Podobnie ma się rzecz i z „Medeą": jej proza pełna poezji przybliża do nas jej sprawy ogólnoludzkie.

Sokratesowsko mądry, subtelny utwór znalazł kulturalną interpretatorkę sceniczną w **Lucynie Tychowej**, której Teatr im. J. Osterwy powierzył reżyserię „Medei". Jej inscenizacja zaleca się wykwintną prostotą, pietyzmem dla ważkiego słowa znakomitego pisarza, wyraźnym rysunkiem głównych postaci. Może mniej się udały sceny sądu i na agorze, a także zakończenie aktu III. Należałoby tu jeszcze popracować nad postaciami drugoplanowymi. Największe trudności nasuwa agora: „Medea", będąca w strukturze sztuką kameralną, wymaga w tym miejscu liczniejszego zespołu, co pociąga za sobą wprowadzenie statystów. I przy spełnieniu tego warunku „lud" wypadł zbyt nikle. Zastanawiam się w ogóle, czy nie lepiej byłoby założyć, iż Kreon przemawia nie do tłumu, tylko do „delegacji" (w pałacu).

Za to fascynujące są wstępy i finały, wyłanianie się akcji z legendy i zanikanie jej w bajce, na pięknym podkładzie muzycznym (**Ryszarda Schreitera**), przy nastrojowych modulacjach światła.

Z komunikatywnym tłem dekoracyjnym malarsko zharmonizowała kostiumy młoda scenografka **Bożena Karolak**, uniknąwszy szczęśliwie niepożądanego odwracania uwagi od głębokiej myśli tekstu.

Medea **Adeli Zgrzyblowskiej** zasługuje na same superlatywy. Dynamiczna, w miarę „dzika" (pomysłowo zamarkowane przez aktorkę ukąszenie palca Jazona!), szczera, mądra, przenikliwa, szczodra i bardzo kobieca w miłości, gorzka w swej krzywdzie — budzi sympatię i współczucie. Prawdziwe są zarówno jej krótkie spięcia z Jazonem, jak z rywalką Kreuzą.

Dobrze skontrastowała z nią postać Kreuzy **Zyta Połomska**. Oto istotnie kandydatka na taką żonę, „*co ściele łóżko, nakrywa stół, woła na obiad i mówi, że już późno, czas spać*". Ze specjalnym uznaniem trzeba zwrócić uwagę na nieustający czynny udział Połomskiej w toczącej się dokoła niej akcji. Osiąga to celną mimiką i gestem (przykład: wymowne nawijanie nici).

Niewspółmierną z młodzieńczością nicość Jazona, brak charakteru, tchórzliwe zmierzanie do samolubnego celu pokazał w pełni **Leopold Matuszczak**, któremu należy pogratulować całkowicie pomyślnego wykonania zlecenia danego na krótko przed premierą.

Inteligentnie, nobliwie zagrał skomplikowaną rolę Kreona **Jerzy Felczyński**, jak zawsze bezbłędny w postawie, geście i słowie, mówionym z nienaganną dykcją. Troska o los córki wymownie przeświecała przez dyskretne indagacje I aktu.

Epilog, który Jan Parandowski dopisał już po wydrukowaniu dramatu w „Dialogu", spełnia znakomicie zadanie komentarza, będąc też dodatkowym rysem nowoczesności w fakturze „Medei". Bardzo dobrze wypadł Eurypides (**Ludwik Paczyński**), „antyczny" a bliski.

Z pozostałych ról wywiązali się sumiennie: **Nina Czerska** (Piastunka Absyrtosa), **Maria Kaczkowska** (Córka Peliasa), **Wanda Węsław** (druga Peliada i Reżyserka w Epilogu), **Zygmunt Fok** (żądny władzy brat Kreona, Glaukos), **Zdzisław Winiarczyk** (Kupiec I i Profesor), **Witold Zarychta** (Żeglarz i Dyrektor).

Takie „Medee" wprowadzające do okrutnych mitów poprawkę na humanitaryzm jakże potrzebne są dzisiejszej ludzkości spragnionej zgody, pokoju i postępu cywilizacji!

*) Przekład J. Kasprowicza.

Recenzje

Radom w publikacji

TO już prawie 6 lat minęło od chwili, gdy sąd w Radomiu rozpatrywał głośną w całej Polsce aferę gospodarczą prezesa spółdzielni „Przyszłość" Bolesława Dedo i jego 15 wspólników. Do sprawy tej, zresztą marginesowo, wraca **Izabella Czaplarska** w artykule **„Przestępczość gospodarcza w Radomiu"**, który ukazał się w ostatnim numerze „Biuletynu Kwartalnego Radomskiego Towarzystwa Naukowego". Autorka, sięgając nawet do okresu przedwojennego, ciekawie analizuje społeczne i gospodarcze źródła tego niewątpliwie ciekawego tematu. Sprawa była szczególnie atrakcyjna właśnie w Radomiu, gdzie — ze względu na brak skóry na rynku — na styku państwowego i spółdzielczego przemysłu garbarskiego powstawał trójkąt z nielegalnym najczęściej rzemiosłem.

I. Czaplarska omawia zresztą szeroki wachlarz przestępstw gospodarczych. Szkoda tylko, że opracowanie kończy się na roku 1962 lub 1963 i w ten sposób ogólny wniosek autorki o zmniejszeniu się liczby i wielkości przestępstw nie jest w artykule dostatecznie udokumentowany. Można także mieć trochę pretensji o brak adiustacji tekstu przez polonistę, wskutek czego obok tzw. języka prawniczego występuje również żargon prawniczy.

W najobszerniejszej pracy **Stefan Witkowski** zwraca uwagę na strefę podmiejską Radomia. Autor zajmuje się wyłącznie problemami natury gospodarczej, wszechstronnie udokumentowanymi i uzupełnionymi tabelami i planszami. Ale pretensja chyba ta sama co wyżej: wszystko kończy się na roku 1961. W wydawnictwie tego typu jest chyba miejsce na bardziej aktualne dane.

O budynku gospodarczym przy klasztorze bernardynów pisze **Ryszard Brykowski**. Ten zabytkowy budynek pochodzi z pierwszych lat XVI wieku, jego szczególna wartość polega na ukształtowaniu i wyrazie plastycznym. Autor słusznie protestuje przeciw projektowanej przebudowie obiektu na cele mieszkalne, postuluje natomiast odbudowę i rekonstrukcję z pełnym zachowaniem jego wartości zabytkowej i umieszczenie tam biblioteki i pracowni naukowej.

Dołączona do numeru kronika jest zbyt uboga. I na zakończenie dwie uwagi. W cytowanym piśmie Prezydium MRN do ministra kultury władze chyba słusznie uskarżają się, że Wydawnictwo Lubelskie „nie wyraża chęci przyjęcia wydawnictw Towarzystwa". Powinno — tylko jak rozstrzygnąć sprawę dotacji? Do samego „Biuletynu", który ukazał się w nakładzie 260 egzemplarzy, trzeba by dopłacić kilkanaście tysięcy złotych. Kto jest chętny? I druga uwaga: ostatni numer oznaczony jest jako tom II i zeszyt 2. Ale kiedy się ukazał — nie wiadomo, jakiego okresu działalności Radomskiego Tow. Naukowego dotyczy — też nie wiadomo.

(dost)

„Śmierć Tarełkina" w Kielcach

RYSZARD PODLEWSKI

ARYSTOKRATA z pochodzenia Aleksander Suchowo-Kobylin dzięki niepomyślnemu dla niego losowi zaczyna pisać sztuki dramatyczne. Autor rodzi się więc w więzieniu, bo tu powstaje pierwsza część trylogii „Małżeństwo Kreczyńskiego". Potem pisze „Sprawę" i wreszcie „Śmierć Tarełkina". Stopniowo wyostrza się w nich bezkompromisowe potępienie stosunków, w jakich przyszło żyć poddanym Jego Imperatorskiej Mości — Cara Wszechrosji. Z konwencjonalnej jeszcze niejako komedii salonowej przechodzi Suchowo-Kobylin do zupełnie nowej w typie komedii: drapieżnej satyry, która choć zachowuje pozorny spokój trzech ścian sceny — wybiega daleko w przyszłość i dziś, w drugiej połowie XX wieku, odbierana jest jako w pełni prekursorska, współczesna w formie. Nie dziwi nas także, że tak surowo była ścigana przez carską cenzurę. Jest w tej sztuce zbuntowanego członka uprzywilejowanej kasty dużo z poprzedników, a więc Czechowa i Gogola, a jednocześnie wiele więcej — bo całe późniejsze o przeszło pół wieku doświadczenia europejskiej awangardy. Już sam wstęp sztuki Kobylina każe nam się śmiać, ale śmiać trochę ze zgrozą. Atmosfera jest ciężka, ale nie dajmy się zwieść rekwizytom i całemu temu nastrojowi trupiarni. Suchowo-Kobylin podobnie jak dzisiaj najgłośniejszy bodaj, ciągle eksperymentujący rumuński Francuz Ionesco — zaleca nam śmiech ze wszystkiego, nawet z naszego marnego końca. Obu tych twórców pasjonuje dramat słabego, uwikłanego w życie człowieka, rzuconego w egzystencję bez twardej skorupy i z góry skazanego na jedno.

Na widowni kieleckiego Teatru im. Stefana Żeromskiego panuje cisza pełna przejęcia, lub odrazy, kiedy tytułowy bohater sztuki sam przygotowuje swój pogrzeb, chcąc w ten sposób uciec od swej zaplutej, pośledniej i prześladowanej przez los oraz wierzycieli powierzchowności. Tarełkin, posyłając do grobu kukłę w swoim mundurze i ze swoim biletem wizytowym, pragnie wywalczyć sobie nową osobowość, zacząć życie ponownie, wierząc, że inne nazwisko i odmienna twarz dadzą mu nowe szanse. Pozorna od początku śmierć Tarełkina wchodzi od razu w nastrój ponurego żartu, podobnego próbom Ionesco, czy Becketta. Autor nazwał zresztą swój utwór właśnie żartem, w co znowu nie warto wierzyć bezkrytycznie. Jest to ten typ komedii, który pod maską śmiechu wypowiada rzeczy gorzkie i poważne, pozostawiając tragediom nuty patetyczne i fałszywe.

Usiłowania Tarełkina są tragiczne, miota się on jak zrzucająca starą skórę gąsienica, pragnąc odejść od skompromitowanej osobowości, od wrogów i biurka w urzędzie. Bohater Kobylina chce być kimś innym, zmarłym niedawno sąsiadem, którego dokumenty udało mu się zdobyć. Wkrótce jednak wydaje się, że azyl tej nowej skóry był pozornie spokojny. Tarełkin wpada w kłopoty swego nowego „ja" i oczywiście, zmuszony okolicznościami, wraca do siebie.

Przedstawienie kieleckie jest dawno nie notowanym sukcesem tej sceny. Oto wreszcie po dwóch zupełnie żenujących spektaklach („Uczta morderców" i „Czarująca szewcowa"), w których z trudem odnajdowałem zawodowych aktorów i reżyserów — mamy prawdziwy teatr. Jest to wynik na pewno kilku szczęśliwych zbiegów okoliczności — jak na przykład oddanie reżyserii doświadczonemu scenografowi, ale debiutującemu teraz w roli reżysera — **Wojciechowi Krakowskiemu**, przybyciu do Kielc zdolnego i obiecującego wiele młodego aktora **Henryka Giżyckiego**, który mógł podjąć się trudnej roli Tarełkina i trzeciemu filarowi spektaklu — **Stanisławowi Moskalewiczowi**, scenicznemu porucznikowi Rasplujewowi.

Wojciech Krakowski — scenograf o wykształconym stylu, lubiący nawet w najpyszniejszych oprawach odsłaniać ich nędzę i pozór, przekształcił całe przedstawienie w jednolitą wizję, z której wieje zimnem i wrogością. Klimat jest zaskakująco „dostojewski". Tak działają barwy ścian szarych w tonacji, wielkie i wysokie pokoje w obu kolejnych obrazach. W scenerii tej pokracznie i karykaturalnie poruszają się kukły bohaterów.

Świetny jest pomysł zrównania wszystkich przez nałożenie im sztucznych łysin. Karykatura nabiera ostrości i pozwala nam lepiej odbierać myśli Kobylina bez wikłania widza w realizm szczegółów. Wielkie wrażenie robi ten tłok ograniczonych i twardogłowych biurokratów, sprzedajnych urzędników i policjantów. Nie ma w tej sztuce akcentu sympatii dla kogokolwiek. Wkoło samesuje, wspaniała galeria bezmyślnych i powolnych każdemu, kto głośniej krzyczy z wysokości swej rangi. Scenograf pomaga tu reżyserowi, a reżyser scenografowi, co w sytuacji tej „unii personalnej" jest łatwiejsze niż kiedykolwiek. Oczywiście malarskość gra tutaj poważną rolę — interesują Krakowskiego grupy i układy ludzi, narzuca on przedstawieniu coś, co może przypomina niektóre realizacje teatru Majakowskiego. W trzeciej scenie jest coś z „Łaźni" i pozwala to odnaleźć w Suchowo-Kobylinie szereg zaskoczeń całkiem aktualnych.

Dramaturg nieżyjący już od ponad 60 lat przemawia do nas wprost, wyjaśniając wiele tajników ludzkiej natury. Kapitalny pomysł, w którym wychodzi na jaw przekorna filozofia Kobylina, to scena zdobywania składki na pogrzeb biurowego kolegi. Autor dzięki prostemu zabiegowi pokazuje, jak łatwo grupa bezwzględnych skąpców sięga po cudze portfele, zapominając przy tym, że ktoś drugi buszuje w jego funduszach. To już nie gogolowskie, budzące szczery śmiech tępaki, ale wyhodowany w określonym klimacie gatunek ludzkich gruboskórów, których ujawni w dalszym etapie rozwoju „Nosorożec" Ionesco.

A scena stosowania, jak byśmy powiedzieli: „niedozwolonych metod śledztwa" — przy pomocy machiny, złożonej z żołdaków? Jest w niej kpina, która wywołuje w ludziach naszego pokolenia liczne skojarzenia, nie pozwalające na beztroski śmiech. Czai się tu wszędzie przemoc, policyjny gwałt, który wymusza potrzebne urzędnikom zeznania. W przedstawieniu kieleckim właśnie tylko ci bici są inni, mają ludzkie odruchy i reakcje.

Dlaczego uważam, że Henryk Giżycki w roli Tarełkina jest atutem przedstawienia, które oglądają widzowie Kielc, Radomia i wielu innych miast, dokąd dociera objazdowa trupa!

Bo od wygrania tej roli zależy powodzenie całego spektaklu, Tarełkin musi bawić i napełniać odrazą. Młody aktor ma wszelkie cechy aktora charakterystycznego. Jego dwa wcielenia: Tarełkin i Kopyłow różnią się nie tylko maskami, ale także gestem, postawą, głosem. Bohater sztuki jest antypatyczny, ma w sobie coś z galerii „wampirów" — stworzonych przez film niemy i brukową prasę. A jednak tylko temu bohaterowi daje Suchowo-Kobylin kwestie, pod którymi sam się z pewnością podpisywał. Tarełkin jest zły, chce urządzić się w życiu dzięki szantażowi, a przecież tylko on widzi potworność tego świata, w którym nie ma innych dróg postępowania. Jego kroki uwarunkowane są poziomem moralnym społeczeństwa. Giżycki wychodzi z trudnej roli obronną ręką, wykazując wielką, kameleonową zdolność tworzenia typów.

I jeszcze Iwan Rasplujew — inspektor cyrkułu, w osobie Stanisława Moskalewicza. To jedna z tych postaci, które pozostają w pamięci widza. Gargantuiczna, nienasycona i opasła persona porucznika policji jest jak gdyby żywcem wyjęta z czasów carskiej Rosji. Aktor ten gra realistycznie, jego żywiołowa, krwista obecność daje niezwykle cenny i ciekawy efekt w zderzeniu z galerią kukieł. Obżarstwo Rasplujewa jest tak przekonywające, że niejeden z widzów zapytywał się na pewno w duchu: — Jak on to robi!? Moskalewicz pochłonięty jest cały pochłanianiem poczęstunku. Zdaje się ślepy i głuchy, wpada w trans, by — kiedy się obudzi — znów być niebezpiecznym i tępym urzędnikiem policji.

Warto polecić to przedstawienie. W repertuarze lektur szkolnych, którymi przeładowano sezon 1965/66 jest to rzadki, prawdziwy spektakl.

Ludwika Śniadecka (Marusza) i Henryk Giżycki (Tarełkin)

Odpowiedzi Redakcji

M.R.N. w Łosińcu. Pisze Pan w jednym z wierszy: „Jestem ateista". Nie każdy ateista może być jednak poetą.

J. R. w Ropczycach. Tym razem z „Kolorowych myśli" postaramy się coś wybrać.

A. B. w Łańcucie. Z Pana wiersza: „Szukam i szukam form myśli skończonych". Jeszcze Pan ich nie znalazł, ale — naszym zdaniem — warto dalej próbować. Może po pewnym czasie zadebiutuje Pan w „Kamenie".

A. R. w Zamościu. W zasadzie odpowiadamy głównie w tej rubryce. Pana utwory, niestety, nie nadają się do druku.

J. Z. w Chodlu. Stwierdza Pan w liście do redakcji: „Od wielu lat piszę utwory do szuflady". Sądząc po wierszu, który Pan nadesłał, sytuacja ta długo jeszcze nie ulegnie zmianie.

J. P. Ł. w Warszawie. Zapowiada Pan, że podczas pobytu w Lublinie wpadnie do redakcji i „sprezentuje bukiet stosownych roślin pachnących". Nawet po ujemnej ocenie wierszy, a zwłaszcza fraszek?

K. W. w Zamościu. Chyba najlepszy utwór to: „Świat jest kwiatem", ale musi Pan bardziej pracować nad formą. Za dużo zużytych metafor!

R. R. w Poznaniu i C. M. w Kaliszanach. Nie skorzystamy. To na razie próby poetyckie.

J. K. w Białymstoku. Przesyła Pan kilka wierszy i stwierdza: „Są to moje pierwsze kroki w poezji". Jeszcze nie kroki — raczkowanie!

E. P. w Lublinie. W Pana wierszach są fragmenty, które budzą nadzieję, że w przyszłości będziemy mogli umożliwić debiut.

B. D. w Ogrodniczkach. Pisze Pan nadsyłając wiersze i opowiadania: „Czy za lat dziesięć ujrzę jakiś mój mały wierszyk lub opowiadanie na łamach „Kameny"? Nie mamy wróżki na etacie, w każdym bądź razie w opowiadaniu pt. „Moja droga do szczęścia" bardzo się Pan namęczył przy tym wchodzeniu. Do szczytu jednak ciągle daleko!

J. K. w Chełmie. „Czym jestem" — zastanawia się Pani w wierszu. Na pewno osobą wrażliwą, ale to jeszcze zbyt mało na debiut poetycki. Zresztą na podstawie dwóch utworów trudno wydawać autorytatywną opinię.

J. R. w Warszawie. Nie skorzystamy. Jest to właściwie rozszerzony komunikat.

O. Z. w Poznaniu. Prosimy swobodnie dysponować opowiadaniem. Ostatnio jesteśmy dosłownie zawaleni materiałem, a przede wszystkim drukujemy jednak prace autorów z czterech wschodnich województw.

J. S. W. w Skarżysku. Pisze Pan: „Proszę bardzo o ocenę tych kilku wierszyków. Są one pierwsze jakie kiedykolwiek napisałem... Gdy zaistnieją takie możliwości to będę b. wdzięczny za zamieszczenie". Drogi Panie, trochę samokrytycyzmu! Przecież to więcej niż grafomania: „O spokój duszy wielki i trwały walczy dziś każdy: duży i mały. Czy kiedyś człowiek spokój osiągnie, czy gdzieś me serce go dosięgnie?"

E. Z. w Jeleniej Górze. „Wiosna Żeromskiego" b. słaba.

Z. P. w Łomży. Fraszki ciągle nieudane i dlatego nie jesteśmy w stanie spełnić Pana uprzejmej prośby o druk.

H. J. w Świdniku. Stwierdza Pan, że do poważnego potraktowania utworu zmusili Pana koledzy. Dlaczego im Pan tak łatwo ulega?

C. B. Pana miły list przeczytaliśmy z zainteresowaniem. Na debiut jednak za wcześnie. W jednym z wierszy pisze Pan: „brak mi wyobraźni". Chyba racja.

Z. R. w Poznaniu. Ostatnio otrzymujemy coraz więcej listów z całej Polski, w których nasi Czytelnicy skarżą się, że albo wcale, albo z wielkimi trudnościami mogą nabyć „Kamenę", gdyż brakuje jej w wielu kioskach „Ruchu". I rzeczywiście ze względu na wciąż trudną sytuację z papierem, nie możemy zaopatrywać wszystkich kiosków w Polsce. **W tej sytuacji jedynym i pewnym wyjściem jest prenumerata.** Można ją wpłacić w każdym urzędzie pocztowym do dnia 10 każdego miesiąca na okres następny. **Prenumerata kwartalna wynosi 12 zł, roczna 48 zł.** Wpłaty można również dokonać w każdym oddziale PPUPiK Ruch.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ 13 czerwca odbędzie się w Białymstoku wielki zlot młodych przodowników pracy i nauki z województwa. Będzie to zarazem centralna uroczystość obchodów ostatniego roku Tysiąclecia.

◆ W wyniku eliminacji wojewódzkich na „Wiosenny Festiwal Muzyki Nastolatków" pierwsze miejsce zajął zespół „Żółtodzioby" z klubu WKZZ, prowadzony przez Leona Adamiaka.

Białostocka Orkiestra Symfoniczna wprowadza do programów na stałe współczesną muzykę polską. W pierwszym koncercie prezentowano m. in. utwory Perkowskiego i Rudzińskiego.

◆ W drugiej połowie marca Teatr Lalek „Świerszcz" daje dwie premiery: „Skowronek" Krzysztofa Orskiego i „Bamba w oazie Tongo" Jana Ośnicy.

◆ Nauczyciel szkoły w Tykocinie, ob. Rembiszewski, od 15 lat gromadzi zbiory do muzeum regionalnego. Zebrał już dużo, wiele zarejestrował, ale wciąż nie może uzyskać lokalu.

◆ Teatr im. Al. Węgierki wystawił „Dwa teatry" Jerzego Szaniawskiego w reżyserii Tadeusza Kozłowskiego (gościnnie).

◆ W pięciu osiedlach Białegostoku — Antoniuk, Bojary, Dojlidy, Garbarska i Pietrasze — nie ma ani jednej filii bibliotecznej. Co na to władze miejskie?

KIELCE

◆ PDK w Końskich zawarł umowę z kielecką Orkiestrą Symfoniczną na 18 koncertów w ciągu roku. Rzecz godna naśladowania.

◆ Uroczysty koncert zakończył Dni Kultury Bułgarskiej w Radomiu. Na koncert przybyli przedstawiciele ambasady Ludowej Republiki Bułgarii.

◆ W Archiwum Wojewódzkim zorganizowano arcyciekawą i aktualną wystawę. Zgromadzono na niej 100 plakatów, wydanych przez hitlerowców w czasie okupacji. Ponadto Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich przygotowuje wystawę objazdową o zbrodniach hitlerowskich na Kielecczyźnie.

◆ 10 marca odbyła się w Kielcach krajowa narada organizatorów klubów rolnika CRS. W całym kraju powstało dotychczas 3400 takich klubów, z czego prawie 200 w woj. kieleckim.

◆ W ramach obchodów Tysiąclecia w Zakładowym Domu Kultury w Ostrowcu odbywają się co tydzień odczyty na tematy kulturalne.

LUBLIN

◆ 13 marca odbyła się VI Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza ZMS. Uczestniczył w niej I sekretarz KW PZPR Władysław Kondra. Mówiono wiele o działalności kulturalnej i szkoleniu, wskazywano, że w wielu zakładach pracy fundusze, przeznaczone na działalność kulturalną, wydaje się na inne cele.

◆ W eliminacjach powiatowych do XII ogólnopolskiego konkursu recytatorskiego brało udział w całym województwie ok. 18 tys. osób. W kwietniu wyróżniający się recytatorzy oraz kierownicy zespołów otrzymają po raz pierwszy specjalną odznakę wojewódzką.

◆ Zespół Pieśni i Tańca WSR po 2-tygodniowym pobycie szkoleniowym w Przemyślu przedstawił nowy program, za który otrzymał specjalną nagrodę Wydziału Kultury Prez. WRN.

◆ Przy pomocy WDK, Archiwum i Muzeum Lubelskiego powstała w Baranowie w pow. kraśnickim druga w województwie izba pamiątek. Większość eksponatów związana jest z ruchem oporu, który w tym rejonie był szczególnie aktywny.

◆ Od 11 do 19 czerwca mają się odbyć Dni Białej Podlaskiej. Niezależnie od imprez, głównie o charakterze kulturalnym, ukaże się książka o dziejach miasta.

◆ W Dzielnicowym Domu Kultury w zachodniej części Lublina po wielomiesięcznych obietnicach nareszcie zaczyna się coś dziać. Ostatnio m. in. powstał kabarecik studencki oraz młodzieżowy teatrzyk poezji.

RZESZÓW

◆ 5 marca odbyło się plenum KW PZPR z udziałem członka Biura Politycznego i sekretarza KC Ryszarda Strzeleckiego. Omawiano formy i metody pracy instancji oraz ich pomocy organizacjom partyjnym.

◆ „Kontrasty muzyczne i poetyckie" — tak nazywała się oryginalna impreza, zorganizowana przez Wydział Kultury Prez. WRN i ZMS w Rzeszowie. W ramach tych kontrastów zaprezentowano dawne i współczesne utwory muzyczne oraz odpowiednio dobrane utwory poetyckie.

◆ 5 marca odbyła się V Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza ZMS z udziałem I sekretarza KW PZPR Władysława Kruczka. ZMS w woj. rzeszowskim liczy ponad 42 tys. członków, pracuje ponad 1200 brygad pracy socjalistycznej.

◆ Studenci filologii polskiej i rosyjskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej udzielają bezpłatnie korepetycji uczniom szkół średnich i podstawowych.

◆ Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych wyprodukowała krótkometrażówkę „Strajk chłopski", opartą na wypadkach, które działy się na Rzeszowszczyźnie w 1937 r.

◆ Teatr Lalki i Aktora „Kacperek" otrzymał nareszcie własny lokal — po dawnym BWA. Pomieszczenie nie jest zbyt duże, ale nareszcie własne.

Polemiki

ROMUALD WIŚNIEWSKI

Mozart, Fogg czy ye-ye?

SYTUACJA stawała się katastrofalna, a także karykaturalna. Naprzeciw kilkudziesięciu wyfraczonych panów na estradzie, miejsca na widowni zajmowała mała, nieraz nawet kilkunastoosobowa grupka słuchaczy. Przemyślna kasjerka wypisywała temu miejsce w pierwszym rzędzie pośrodku, temu w piątym z lewej strony, temu w piętnastym z prawej — aby tylko wywołać wrażenie, że jest trochę więcej tej publiczności. Nie pomogło sprowadzanie laureatów międzynarodowych konkursów, nie pomagali słynni zagraniczni soliści. Filharmonia lubelska umierała śmiercią naturalną, czyli z powodu braku frekwencji na koncertach. W Lublinie nawet nie snobowano się chodzeniem do filharmonii. O instytucji tej przestała niemal całkowicie pisać miejscowa prasa, co może jest zrozumiałe, bo wobec takiego obrotu rzeczy trudno było dalej jechać na „żelaznym" temacie — to znaczy domagać się budowy nowej sali koncertowej.

Tak było jeszcze dwa lata temu. A więc w okresie, kiedy filharmonia nasza miała świeżo na swym koncie kilka znakomitych koncertów i szereg bardzo udanych lub udanych, zaś na czele tej placówki stał zdolny i doświadczony dyrygent.

Przyczyna spadku popularności filharmonii tkwiła w przestarzałych formach działalności tej instytucji. Koncerty były starannie przygotowywane, ale repertuar zbyt jednostronny. Za ambitne były zamierzenia, nie liczące się z realiami. Za dużo było muzyki trudnej, obliczonej na odbiorców o wysokim przygotowaniu, za mało muzyki popularnej i rozrywkowej. Filharmonia pracowała tak jak „w dawnych, dobrych czasach", kiedy to ludzie z tzw. górnych warstw społecznych, czy ich to interesowało czy nie, chodzili na koncerty — bo wypadało się pokazywać. Nawet propagandę i reklamę utrzymywano w wytwornych, nie rzucających się w oczy rozmiarach i formie.

Od półtora roku jesteśmy świadkami radykalnych zmian. Filharmonia lubelska nie zrezygnowała ze swych ambicji artystycznych, lecz jednocześnie wyraźnie stara się pozyskać szersze grono słuchaczy. Weszły na estradę także koncerty popularne, znalazło się miejsce i dla muzyki rozrywkowej. Prócz orkiestry, prócz znanych solistów rodzimych i z importu mieliśmy możność usłyszenia chórów amatorskich, orkiestr tanecznych, a nawet piosenkarzy. Źle to czy dobrze?

Wzrastająca stale (choć nadal niedostateczna jak na 200-tysięczne miasto) frekwencja zdaje się mówić, że dobrze. Co innego twierdzą jednak recenzenci.

Do recenzentów muzycznych Lublin nie ma jakoś szczęścia. Albo dobrze znają się na muzyce, a mało na pisaniu, albo też dobrze piszą, lecz za to nie za wiele wiedzą o Polihymnii, a jeśli już mamy uzdolnionych w obu kierunkach, to zamiast zwięzłych, jasnych opinii pomagających publiczności zrozumieć koncert, siłą się na skomplikowane elaboraty. Filharmonia jest jedynym przybytkiem sztuki w Lublinie, o którym — poza sprawozdaniami z imprez — na lokalnych łamach nic wyczytać nie można. Ani o planach, ani o kłopotach, ani o radościach, żadnego wywiadu, żadnej anegdoty. Wyczytać można za to, od pewnego czasu coraz częściej, że wprawdzie ostatni koncert był bardzo dobry, jednak w ogóle to filharmonia się stacza. Właśnie przez tę muzykę popularną i rozrywkową.

Do grona utyskujących dołączyła się Maria Bechczyc-Rudnicka artykułem zamieszczonym w „Kamenie" z 28 lutego 1966 roku. Tytuł tego wystąpienia **„Nie czekajmy aż zakwitną jabłonie"** sugeruje, że do sprawy należy podejść ostro, po męsku — bo przecież właściwie mamy już wiosnę i jabłonie w tym roku pewnie zakwitną wcześniej niż normalnie.

M. Bechczyc-Rudnicka pisze, że **„ultrapopularne programy koncertowe rodem z variété i music-hallu są w filharmonii — według mnie — takim samym nonsensem i niewłaściwością, jakim byłaby na wyższej uczelni elementarna nauka czytania i arytmetyki".** Autorka nie wyraża przy tym ani słowa krytyki co do jakości wykonania któregokolwiek programu rozrywkowego, co nie jest brakiem chęci grzebania się w szczegółach, gdyż chwali „po nazwiskach" wykonawców koncertów symfonicznych. A zatem krytyka dotyczy nie poziomu realizacji koncertów rozrywkowych, lecz tego, że są one dopuszczane w sąsiedztwo Haydna, Mozarta i Brahmsa. Jest to głos godny podziwu — tak jak należy podziwiać ludzi za odwagę występowania z poglądami spóźnionymi o parę ładnych lat. Godne podziwu są także inne podobne uwagi na ten temat spotykane w lubelskiej prasie. W całej Polsce bowiem — i nie tylko w Polsce — muzyka rozrywkowa zdobyła sobie prawo obywatelstwa na estradach filharmonii. Koncerty rozrywkowe grane są systematycznie w warszawskiej Filharmonii Narodowej; można tam usłyszeć i jazz i big-beat. I jakoś nikt nie załamuje rąk.

Problem polega przecież na jakości, a nie na rodzaju. Szekspir parał się zarówno tragedią jak i komedią, mistrzowie włoskiego renesansu tworzyli i obrazy o treści religijnej i malowali kobiece akty. Człowiek, który wybiera się do filharmonii, chce posłuchać dobrej muzyki. I nie tylko Beethovena. Także „mocnego uderzenia". Ale ma to być dobra muzyka. O ile na koncercie „Estrady" możemy tolerować zespół big-beatowy który gra źle, ale stara się zabawić widownię np. długimi grzywami, konwulsjami i tarzaniem się po podłodze, o tyle w filharmonii chcemy — także i na koncercie rozrywkowym — nie tamtych efektów, lecz wartościowego programu i solidnego wykonania. Zresztą poza filharmonią trudno jest dziś o bezpośrednie odbieranie takiej muzyki. Kto zdaniem M. Bechczyc-Rudnickiej uosabia nonsens uczenia się muzycznych elementów czytania i arytmetyki: Fogg, Anna German, orkiestra Haralda czy Czernego? W kiepskim cyrku słyszałem kiedyś orkiestrę grającą Chopina i Bizeta. Grała okropnie. Wolałbym stokroć Haralda.

Życie zmienia się. Być może za kilka lat poziom „składanek" estradowych tak się podniesie, że będzie na nich można usłyszeć świetne wykonanie utworów rozrywkowych. Może wtedy warto będzie pomyśleć czy nie oddzielić całkowicie tej muzyki od filharmonii. Na razie jednak nie ma chyba przeszkód, by filharmonia prezentowała nam w odpowiednich proporcjach i Bacewiczównę, i Bacha, i radosne ye, ye, ye.

Nowe opowiadanie A. Sołżenicyna

W styczniowym numerze czasopisma „Nowyj Mir" opublikowano nowe opowiadanie Aleksandra Sołżenicyna pt. „Zachar Kalita", którego treścią jest opis rowerowej wycieczki autora na Kulikowe Pole. Jak wiadomo, na tym miejscu, położonym na równinie donieckiej, książę moskiewski Dymitr Doński stoczył w 1380 r. zwycięską bitwę z Tatarami. Na Kulikowym Polu, często odwiedzanym przez wycieczki, podobnie jak nasz Grunwald, znajduje się zabytkowa cerkiewka oraz pomnik Dymitra Dońskiego wzniesiony w 1848 r. Wszystkiego tego strzeże dziwaczny starzec, Zachar Kalita, fanatycznie przywiązany do tych, po części zaniedbanych, obiektów.

Nowe opowiadanie Sołżenicyna, podobnie jak i nieliczne poprzednie, jest małym dziełem literackim, nawiązującym do najlepszych wzorów klasyki rosyjskiej.

(Kt)

SPROSTOWANIE

Do przekładu wiersza Noneszwilego „Spotkanie" („Kamena" nr 5 str. 4) wkradł się błąd: w drugiej zwrotce opuszczono jedną linijkę. Powinno być:

O wodę cię proszę.
Spragniony-m jak ziemia,
I widzę, jak uśmiech w twych
oczach zakwita.
„Przepraszam cię, druhu,
winogron tu nie ma,
bym ciebie jak w Gruzji
mógł winem przywitać".

Awans miasta

(Dokończenie ze str. 5)

1560 r., a w kilka lat później znalazł tu zwolenników anabaptyzm. Odbudowany w 1570 r. zbór ariański oddziaływał na masy plebejskie miasta i okolicznych chłopów. Przewaga elementu plebejskiego w ariańskim zborze lubelskim sprawiała, że ideologia jego stała się zdecydowanie radykalna, zwłaszcza w drugiej połowie XVI w., zanim wpływy szlacheckie skierowały dalszą jego ewolucję na bardziej umiarkowane tory. Początkowy radykalizm lubelskiego zboru ariańskiego sprawił, że w obawie przed jego dalszą ekspansją kontrreformacja skierowała tu swych najlepszych polemistów. Do walki z arianami zostali m. in. osadzeni w Lublinie w 1582 r. jezuici, którzy różnymi metodami starali się osłabić popularność Braci Polskich.

Renesans zaznaczył się dosyć znacznym ożywieniem szkolnictwa, ruchu wydawniczego i artystycznego, chociaż w dziedzinach tych rola Lublina nie była w ówczesnej Polsce już tak ważna jak uprzednio. Brak tu było aktywnego środowiska kulturalnego, związek kilku wybitnych pisarzy z miastem, m. in. Biernata, Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego czy Sebastiana Klonowicza, był raczej dosyć luźny, przypadkowy i mało istotny. Brak szerszego mecenatu, oddalenie od silnych ośrodków kultury renesansowej oraz centrów świeckiej hierarchii kościelnej też nie sprzyjały rozwojowi poważniejszej inicjatywy kulturalnej, chociaż z drugiej strony umożliwiały tworzenie właśnie w Lublinie silnego ośrodka dysydenckiego.

Skoro mowa o szkolnictwie warto przypomnieć, że czynna była przez pewien czas szkoła ariańska, przeniesiona ok. 1567 r. do Bełżyc, w której — obok szkoły w Lewartowie oraz słynnej Akademii Rakowskiej — kształcili się synowie mieszczan lubelskich i okolicznej szlachty ariańskiej. Do walki z Braćmi Polskimi została założona w 1586 r. szkoła jezuicka, licząca pod koniec XVI w. około 400 uczniów, a na początku XVII w. blisko 700, co było jednym z przejawów postępów kontrreformacji. Warto przy tej okazji dodać, że czynna była też w drugiej poł. XVI w. żydowska szkoła talmudyczna, czyniąca z Lublina ważny ośrodek nauki żydowskiej. Ośrodek ten, ściągający uczniów z różnych krajów, był na tyle dynamiczny, że powstały przy nim posiadające szeroki zasięg oddziaływania dwie drukarnie żydowskie, z których wyszły pierwsze znane druki lubelskie. Ominęła natomiast Lublin szansa stworzenia wyższej uczelni w XVI w. Dawny burmistrz lubelski Sebastian Klonowic, był — z polecenia Jana Zamoyskiego — jednym z organizatorów i superintendentem Akademii w Zamościu.

Ważne światło na zainteresowania naukowe mieszczan lubelskich w epoce Odrodzenia rzucają metryki sławnych uniwersytetów Europy zachodniej, w których spotykamy nazwiska lublinian. Humanistycznym zwyczajem jeżdżono do Bazylei (przebywał tam późniejszy minister zboru ariańskiego w Lublinie, Stanisław Paklepka), do Padwy, Lipska, Wittenbergi, Paryża, Leydy i innych uczelni. Najwięcej synów mieszczan lubelskich kształciło się wszakże w Krakowie, niektórzy z nich, jak np. lekarz lubelski Wojciech Oczko, zdobyli sławę daleko poza granicami Polski. Spośród słynnych ówczesnych lekarzy lubelskich warto jeszcze wymienić Walentego z Lublina, do którego traktatu pt. „O różnych chorobach i leczeniu ich" napisał przedmowę sam kanclerz Jan Zamoyski.

Liczne klęski pożarów i zniszczeń wojennych sprawiły, że niewiele dotrwało do naszych czasów lubelskich dzieł sztuki renesansowej, którymi miasto niegdyś się szczyciło. Zamek nosi na sobie dzisiaj tylko bardzo słabe ślady swej renesansowej przebudowy, a kaplica św. Trójcy jest słynna raczej ze względu na swe ruskie freski średniowieczne z czasów Jagiełły. Niewiele też dotrwało śladów rzeźb i detali renesansowych na patrycjuszowskich kamieniczkach Starego Miasta, podobnie jak i obecny stan dawnych świetnych rezydencji i pałaców magnackich nie jest w stanie przybliżyć nam wyglądu renesansowego Lublina, który tak bardzo ucierpiał w pożarze 1575 r.

Przełom XVI i XVII w. stanowił kres dawnej świetności Lublina i zapoczątkował stopniowe pogarszanie się sytuacji gospodarczej naszego miasta, co wiązało się z postępującym powoli naprzód regresem państwa polskiego. W ślad za upadkiem produkcji i wyludnieniem następował upadek handlu, będącego od dawna warunkiem rozwoju i znaczenia Lublina. Podupadły sławne niegdyś lubelskie jarmarki, do czego przyczyniła się również m. in. wzrastająca konkurencja Krakowa i Poznania. Zwłaszcza od czasu wojen z połowy XVII w. stopniowy upadek miasta stawał się coraz bardziej wyraźny i oczywisty. *(Zagadnienie to omówimy oddzielnie).*

Henryk Zins

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka"), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41. KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu"), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26. RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie"), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Zam. 846 10.III.66 L-6

Z ŻYCIA WZIĘTE

Ciąg dalszy nastąpi

W ANKIECIE, jaką rozpisał niedawno wśród swoich czytelników pewien dziennik znalazło się pytanie: Co ci się najbardziej nie podoba w naszym piśmie? Większość odpowiedzi brzmiała: brak powieści w odcinkach.

Powieść w odcinkach jest bardzo charakterystycznym elementem naszej prasy. Na palcach jednej ręki policzyć można te dzienniki, które obywają się bez niej. Kłopoty z papierem zmusiły niejedną redakcję do wyboru: albo powieść, albo materiały publicystyczne. Wybrano powieść. Zresztą słowo: wybór — nie jest tu na miejscu. W większości redakcji nie zastanawiano się na tym ani chwili. Jakby gazeta wyglądała bez powieści? Myślę, że dalsze ograniczenia papierowe nie przyniosłyby tu żadnej zmiany. Dzienniki zrezygnowałyby z informacji, publicystyki, depesz, programów kinowych, ba — nawet z ogłoszeń i działów sportowych. Tylko nie z powieści.

Niejeden redaktor nie wyobraża sobie codziennej gazety bez odcinka powieściowego. Większość czytelników myśli tak samo. Nie jest to zwykły zbieg okoliczności.

Przeciętny nakład książki w naszym kraju wynosi 10 tys. egzemplarzy. Jeśli osiągnie 20 tys. mówi się, że jest bardzo wysoki.

Najmniejszy nakład codziennej gazety liczy 50 tys. egzemplarzy, średni 100—150 tys. Największy 450 tys. Jednorazowy nakład prasy codziennej osiąga zawrotną liczbę 5,7 mln egzemplarzy.

Z normalnego nakładu książki sprzedaje się w ciągu miesiąca nie licząc bestsellerów, 20—40 proc. Część zakupują biblioteki, reszta leży na półkach księgarskich i czeka na nabywcę. Gazeta nie czeka. Codziennie z kiosków znika te 5,7 milionów dzienników natychmiast po ich wydrukowaniu.

Badania wykazały, że powieść w odcinkach czyta regularnie 75 proc. kupujących prasę. Jeśli przyjmiemy, że 1 egzemplarz gazety czyta jeden tylko człowiek i jeśli odliczymy 700 tys. egzemplarzy na te dzienniki, które powieści nie zamieszczają, to okaże się, że powieści odcinkowe czyta codziennie około 5 milionów ludzi.

Można przypuszczać, że o powieść odcinkową troszczą się w naszym kraju odpowiedni ludzie, że wydawnictwa analizują stan tego rynku, że są gdzieś jakieś komórki czuwające nad doborem tytułów, że prasa współpracuje z autorami, że zamawia u nich powieści. Można przypuszczać, że w prasie literackiej ukazują się systematycznie recenzje tych powieści milionów, że toczą się dyskusje nad tym, jaką strawę duchową codziennie, w sposób masowy, konsumuje zwykły Polak.

W rzeczywistości powieść odcinkowa nie obchodzi u nas psa z kulawą nogą. Nie zauważają jej krytycy, tygodniki literackie. Nikogo nie obchodzi, co się drukuje, nikt nie zwraca uwagi, co naprawdę czyta naród.

W Krakowie ukazują się „Zeszyty prasoznawcze", wydaje je Ośrodek Badań RSW „Prasa". Redakcja „Zeszytów" warta jest pochwały. Oto w jednym z ostatnich numerów zamieściła fragmenty pracy magisterskiej na temat powieści odcinkowych, jaką pod kierunkiem doc. dr A. Kłoskowskiej przygotowała Ewa Jesionowska na Uniwersytecie Łódzkim. Autorka spojrzała na literaturę odcinkową pod jednym tylko kątem: jak często występuje w niej element gwałtu. Można się spierać, czy jest to odpowiedni miernik dla oceny tych powieści, czy nie zawęża i nie upraszcza całego zagadnienia. Jednego jej nie można odmówić: podjęła ona pierwszą próbę przerwania bariery milczenia wokół literatury odcinkowej. I uczyniła to w sposób, który zmusza do zastanowienia się nad tą sprawą.

Jesionowska zbadała sytuację z 1962 r. Na 44 dzienniki ukazujące się w Polsce powieść w odcinkach drukowało 40 pism. Łącznie ukazało się 132 powieści 82 autorów, z czego 49 polskich. Najczęstsze przedruki miały powieści: A. I. Milczakowa: Do miasta wtargnęło nieszczęście (8 przedruków), E. M. Remarque: „Noc w Lizbonie" (7 przedruków), M. Gregor: Ulica, P. Quentin: Mój syn zabójcą, P. Quentin: Morderca jest na statku (po 4 przedruki).

Najczęściej drukowane były powieści sensacyjne, kryminalno-detektywistyczne, fantastyczne lub przygodowe. Autorka wykluczyła z ogólnych rozważań 15 powieści sensu stricto „wojennych i partyzanckich", ponieważ sytuacja wojny z istoty swej określona jest przez gwałt, a więc należy je potraktować osobno". Analiza tak wyselekcjonowanego materiału wykazała, że na 47 powieści przypadło 156 rozmaitych obrazów gwałtu.

Jesionowska nie poprzestała tylko na wyliczeniu gwałtów występujących w powieściach odcinkowych. Wykazała, że charakterystyka środowisk i analizy psychologiczne są w powieściach tego typu „bardzo nieliczne i stanowią jedynie zewnętrzną oprawę obrazu, którego podstawą jest akcja. Powieść ta operuje typowymi standardowo rozwiązanymi już sytuacjami, przedstawia postacie najczęściej niepogłębione psychologicznie, zachowujące się w sposób schematyczny. Rzadkością jest też przedstawianie poważniejszych problemów społecznych lub psychologicznych".

Akt oskarżenia, jaki Ewa Jesionowska wytoczyła powieści odcinkowej w prasie polskiej, na pewno jest bardzo jednostronny. Warto by przeprowadzić szersze postępowanie dowodowe, zainteresować tą sprawą i socjologów i krytyków literatury. I samych wydawców.

Powieść stała się bowiem dla wielu redaktorów, wobec szczupłej objętości gazet, jedynym elementem rozrywki, jedynym czynnikiem, stabilizującym, a nawet podwyższającym nakład. Tzw. „dobra" powieść gazetowa, najczęściej kryminalna, wpływa na wielotysięczne skoki w nakładzie dziennika. I zwalnia niekiedy od troski o staranniejsze redagowanie gazety. Czy tylko taką rolę winna spełniać powieść w naszej codziennej prasie?

BAR

NOTY

PRZESŁAWNE ŁANIE. Długo będzie zapewne nasza prasa komentować ubiegłoroczny występ polskich hokeistów w Lublanie. Zero punktów, spadek do grupy B. Po wygranej USA z NRD „Trybuna Ludu" pisała: „W meczu tym potwierdziła się opinia, że w turnieju lublańskim z góry można przewidzieć tylko wyniki meczów polskiego zespołu". Pocieszajmy się, że w przyszłych mistrzostwach może nie będziemy już na szarym końcu. Zawsze grupa B. Chyba najlepiej jednak nasi hokeiści czuliby się w grupie C. Bo co tu dużo mówić — lepiej zdajemy egzamin na ringu niż na lodowisku. A powszechnie twierdzi się, że tak dobrze potrafimy się ślizgać!

ZE ZDZIWIENIEM zauważyłem, że nakład arcyciekawych wspomnień z pierwszych dni wolności („Takie były początki" — Książka i Wiedza) wynosi aż (!) 5000 (słownie: pięć tysięcy) egzemplarzy. Książkę, która powinna stać się obowiązkową lekturą w szkołach sprzedaje się spod ladY. Gdzie sens? Gdzie logika?

ZBIGNIEW KLACZYŃSKI w recenzji z „Faraona" („Trybuna Ludu") pisze o J. Zelniku (Ramzesie): „Wydaje się, że połowa sukcesu należy tu do autentycznej młodości tego dwudziestoletniego aktora, mądrze prowadzonego przez reżysera, jedna czwarta do niewątpliwych uzdolnień Zelnika. Reszty zaś — rzeźbi przykra — doszukać się nie potrafię". Dzielenie sukcesu na ćwiartki nie wydaje mi się metodą zbyt przekonywającą!

ADRES SZCZEPANIKA. Druk naiwnych listów do Piotra Szczepanika nie zraził miłośników jego talentu. „Kamena" otrzymuje teraz dziesiątki listów z prośbą o adres tego lubelskiego piosenkarza. Informuję: wystarczy podanie miasta. Lubelscy listonosze dobrze znają adres. Co najmniej 100 kg korespondencji już dostarczyli...

„KURIER LUBELSKI" w niedzielnym przeglądzie prasy z uporem reprodukuje winietkę „Kameny" z 1964 r. Skąd ten konserwatyzm?

MAJ

BIG-BEAT

Halina gniewna

PANIE Redaktorze! Poprzedni felieton („Dobrze nam tak" — „Kamena", nr 5) zakończyłem słowami: „Na szczęście nikt się dzisiaj recenzjami nie przejmuje. Zwłaszcza, gdy ilu recenzentów — tyle przeciwstawnych sądów. Ale my, Polacy, jesteśmy narodem indywidualistów. Dobrze nam tak!"

Redakcja „Kameny" wydrukowała w tym samym numerze dwie recenzje z „Horsztyńskiego". Jedną — pióra Marii Bechczyc-Rudnickiej, drugą — Andrzeja Hausbrandta. Moja teza(?) została dzięki temu znakomicie zilustrowana. Przeczytajmy np., co Maria Bechczyc-Rudnicka pisze o postaci Szczęsnego, w życiu prywatnym — Krzysztofie Gruszczyńskim:

„...Powierzenie postaci Szczęsnego Mirosławowi Gruszczyńskiemu trzeba jednak uznać za pochopne. Ten aktor niewątpliwie bardzo obiecujący — utalentowany i ambitny — nie jest jeszcze w stanie udźwignąć roli o tak dramatycznym napięciu, zwłaszcza w końcowej części tragedii. Wyręcza się więc, jak może, naśladowaniem Oliviera, uzupełniając swój doskonały wzór niespokojnym rozbieganiem nastolatka. Nie dość bogaty głos nie ułatwia mu zadania".

A oto opinia Andrzeja Hausbrandta:

„...Powiadamy: Szczęsny — Hamlet. Polski Hamlet. Nie wiem, czy tak bardzo polski, wiem, że romantyczny. Nie Hamlet z Szekspira, ale z wyobrażenia romantyków o Szekspirze. Hamlet transponowany. Hamlet przeniesiony z elżbietańskiej Anglii w romantyczną, emigracyjną, na paryskim wydumaną bruku Polskę. Mirosław Gruszczyński z dużym wyczuciem zagrał tę postać. Zagrał — powiedziałbym — bezbłędnie, gdyby nie pewna nadruchliwość, gdyby nie nadmiar energii, demaskujący się tam, gdzie powinniśmy ujrzeć tylko nadmiar nerwowości. Ale to już raczej wina nie tego młodego i obiecującego aktora. Tu należało oczekiwać większej uwagi i ostrzejszej dyscypliny ze strony reżysera".

Komu ma wierzyć nieszczęśliwy widz, nieszczęśliwy czytelnik? Czy powierzenie postaci Szczęsnego Gruszczyńskiemu było pochopne czy też Gruszczyński zagrał tę postać „z dużym wyczuciem", niemal bezbłędnie? Czy rację trzeba przyznać Marii Bechczyc - Rudnickiej, stałej recenzentce „Kameny" czy też goszczącemu na jej („Kameny") łamach Andrzejowi Hausbrandtowi?

Zapewne kolejny spór wywoła „Medea" Jana Parandowskiego. Oto już w „Kurierze Lubelskim" Halina Chabros ze zwykłą u niej zwadą zaatakowała ów spektakl. Tytuł recenzji „Medea gniewna". Mogło być równie dobrze: „Halina gniewna". Autorka podparła się Zygmuntem Greniem, który oceniał krakowskie przedstawienie eurypidesowskiej Medei, i autorytatywnie stwierdziła, że „lubelska" Medea (mowa o całości spektaklu) jest nudnawa, nie wstrząsa, nie porywa ani nawet nie wzrusza.

Przypadkowo słyszałem wypowiedź Jana Parandowskiego. Chyba nie można go posądzać o kurtuazję, kiedy wysoko oceniał grę artystów Teatru im. J. Osterwy. Kto jak kto, ale autor ma w danym wypadku najwięcej do powiedzenia.

Mnie osobiście, a podkreślam, że to jest mój sąd indywidualny, „Medea" nie nudziła. I sądzę, że dobrze się stało, że dyrekcja teatru zaprosiła Lucynę Tychową do naszego miasta powierzając jej reżyserię tej sztuki. Nie zgodziłbym się tylko z koniecznością prezentowania tzw. Epilogu, który — i tu ma rację H. Chabros — „nie pobudza do intelektualnych dyskusji i konfrontacji eurypidesowskiej tragedii z taką właśnie jej wersją współczesną, ukazaną w dwóch aktach".

Jak Pan widzi, Redaktorze, kolejny felieton prawie w całości poświęciłem sprawom teatralnym. Wydaje mi się — i tu jeszcze raz podkreślam, że to jest mój sąd i n d y w i d u a l n y — że niedobra jest praktyka, kiedy w poszczególnych pismach recenzje piszą jedne i te same osoby. Myślę również, że poza (niejako) zawodowymi recenzentami powinni na łamach prasy zabierać głos z w y k l i widzowie. W wypadku „Medei" byłbym za tym, aby zorganizować dyskusję w starszych klasach licealnych, nawet kosztem lekcji języka polskiego czy też lekcji wychowawczej. Na taką dyskusję zaprosiłbym Panią Marię Bechczyc-Rudnicką, Panią Halinę Chabros, czy też Panią Wiercę Korneluk. Ciekawsze wypowiedzi można by opublikować w prasie.

Jacek

P. S. Pan Jacek Frühling wyszedł 17 marca na ring „Kuriera Lubelskiego", aby znokautować mnie za poprzedni felieton, w którym poświęciłem kilka w i o s e n n y c h uwag jego recenzji z „Horsztyńskiego". Niestety, do pojedynku nie doszło. Sędzia pękł ze śmiechu...

II P.S. A Panu Red. L. Gnotowi odpowiem następnym razem.

Igranie z pegazem

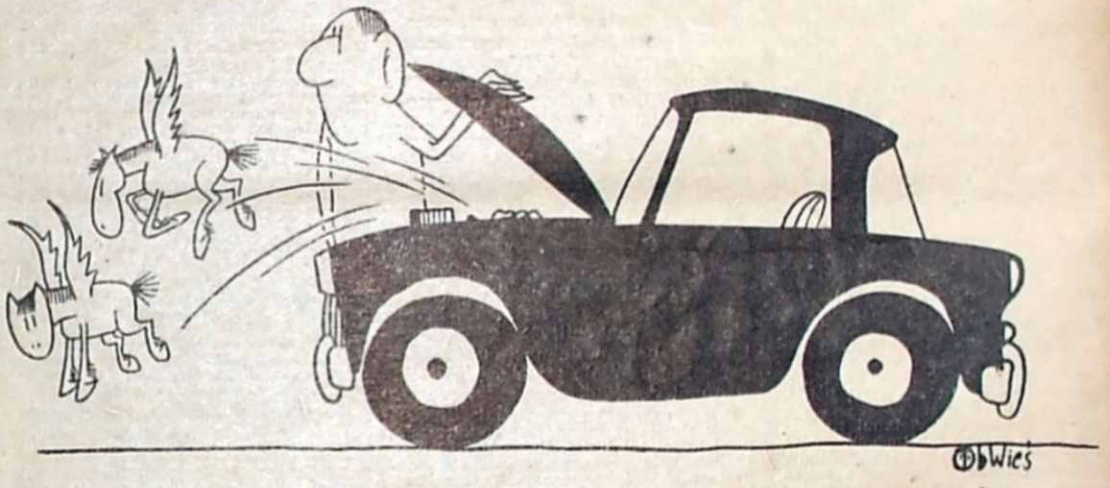

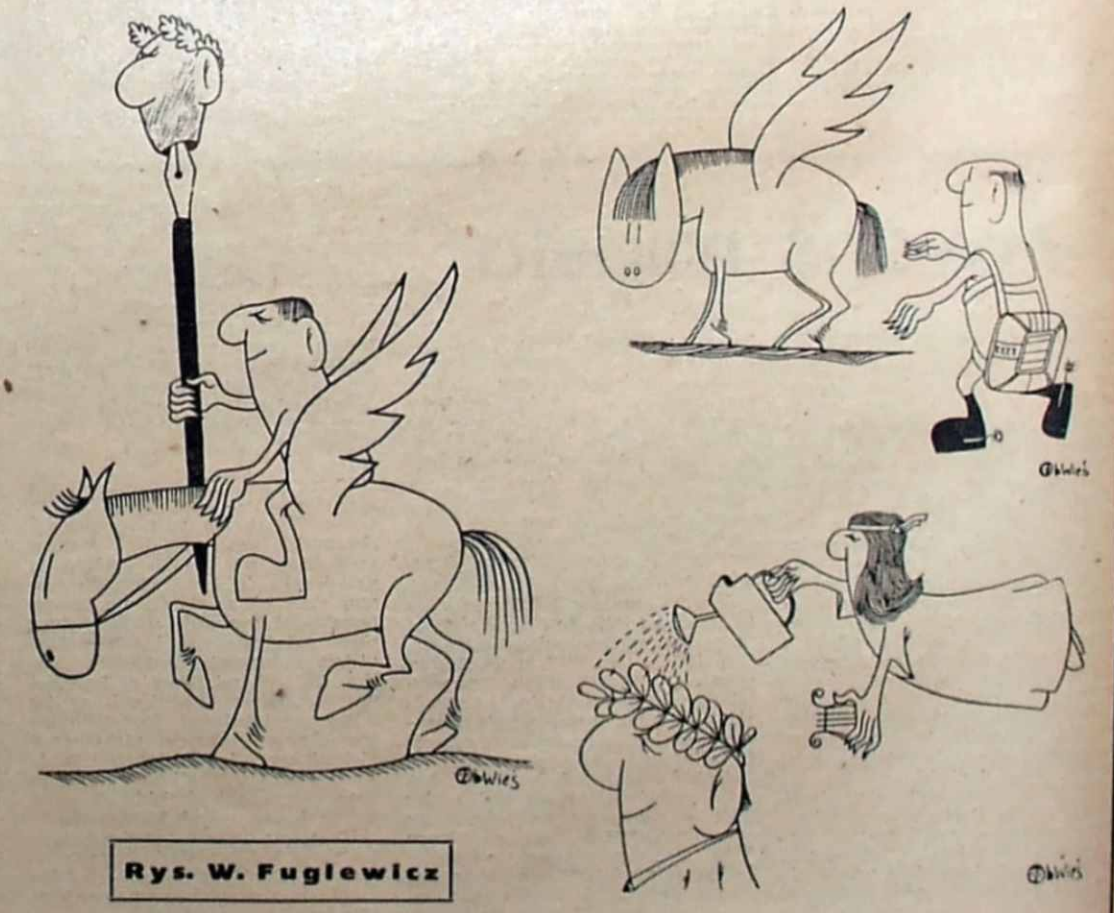

Rys. W. Fuglewicz